

ECHA Z POWSTANIA STYCZNIOWEGO

Winietę tytułową wykonał JAN REMBOWSKI



MARJAN DUBIECKI

ECHA Z POWSTANIA STYCZNIOWEGO



ZAMOŚĆ

ZYGMUNT POMARAŃSKI I SPÓŁKA

26841
II

PRAWA AUTORSKIE ZASTRZEŻONE

Kraushar Warszawa 12. III 32



| |
|----------|
| X-59460 |
| 26841 II |

1922

Wykonane w tłoczni Sejmiku Zamojskiego.

*

*

*

„Insurekcje narodów tam mają swój początek, gdzie sprawiedliwość zdeptano, a skończą się tam, gdzie niewola skona... Jest to wyraz cierpiącej ludzkości... Przyjdzie czas, w którym naród polski upomni się o to co mu się należy“... Tak mówił jeden z przedniejszych ludzi, acz mały stanowiskiem lecz wielki duchem, podczas „insurekcji“ listopadowej*). I rzeczywiście nadszedł ten czas w postaci powstania styczniowego, które zakończyło się wielkim pogromem, a jego następstwa mocno zaciążyły na naszej przyszłości. Naród, zdeptany brutalną, mściwą dłońią wroga, wpadł w długą, ciężką niemoc. Nad ziemią naszą rozpostarła się „wielka cisza“, podobna do tej, którą niegdyś Tacyt określił słowami: „Tam, gdzie uczyniono pustynię, mówią, że

*) Półkownik Karol Różycki, dowódca pólku jazdy wołyńskiej w roku 1831, na Wołyniu.

zrobili pokój“... Trwała ta cisza pół stulecia. Podczas tak długiej doby niesłabnącego, ale wciąż wzmagającego się ucisku, zdołano dużo zniszczyć, nie tylko wartości materialnych, ale i moralnych narodu. Zatracała się coraz bardziej pamięć o tym wielkim wysiłku, jakim było powstanie styczniowe... Pomimo badań niektórych pracowników na polu historii — i to w nader szczupłej liczbie — dotąd epoka tych lat krwawych nie jest należycie zbadana, ani też właściwie oświetlona, a to co zrobiono, pozostało przeważnie nieznanem szerszym warstwom społeczeństwa, głównie w zaborze rosyjskim, na tym terenie, który był polem walk.

Rzecz prawie nie do uwierzenia, chociaż, niestety, prawdziwa, iż długo — prawie nieustannie — posługiwano się u nas jedynie, w sprawach czerpania wiadomości o powstaniu styczniowym, dziełem rosyjskiego pisarza, Berga, wprowadzie bardziej od innych bezstronnego, niemniej człowieka z obozu nieprzyjacielskiego, który do swej pracy wprowadził mnóstwo bajek, anegdot, niemających z historją nic wspólnego, a polski tłumacz był tak nieudolnym, iż nic nie poprawił, nic nie sprawdził... Zaledwie w paru ostatnich dziesiątkach lat coś poważniejszego na niwie badań tych czasów krwawych zrobiono. Prace Walerego Przyborowskiego wysuwają się tu na plan

pierwszy. Do szerszych mas niewiele doszło. Zbyt mała świadomość dotąd wśród nas, jakie uczucia kierowały czynami ludzi ówczesnych, jakimi ścieżkami dążyli do odzyskania niepodległości, jak padało całe pokolenie wśród potoków krwi, pod stołami szubienic, jak wreszcie Rosja zwycięska, zasmakowawszy we krwi i ucisku, w sposób barbarzyński pastwiła się nad pokonanym narodem, za pomocą szkoły wdzierając się do umysłów młodych pokoleń, zacierając świadomość narodową... Tradycje własne chwil lepszych minęły, ustępując miejsca kłamliwej nauce rusyfikatorów. Wróg pracował skutecznie przy małej naszej odporności... Byliśmy blizcy zupełnego upadku jako naród, straciwszy oddawna swą niezależną państwowość... Wielka wojna, sprowadzająca ruinę państw zaborczych, stała się naszym wyzwoleniem.

Książka niniejsza, na której czele piszermy powyższe wyrazy, daleką jest od kreślenia dziejów powstania styczniowego. Zebrała ona jedynie nieco szczegółów pewnych chwil owych pamiętnych dni, pragnąc w ten sposób uczcić ofiarność, męczeństwo, groby tych, co byli kwiatem narodu, — potomności przekazać ich usiłowania. Jest więc ta książka wiązką kilku szkiców, z owych lat dążeń do niepodległości, gdy wśród wielu tysięcy ofiar niemało postaci

wrosło do znakomitej potęgi ducha. Wreszcie są tu zarysy z lat katorgi i wygnania. Te ostatnie odtwarzają chwile z osobistych przeżyć autora...

Składamy tę książkę na zatraconych, zapomnianych mogiłach bojowników powstania styczniowego. Oby wszystko, co wyższe, szlachetniejsze spoczywa w owych grobach, przyświecało życiu przyszłych pokoleń.

Pisałem w Dniu Zadusznym 1921 roku w Krakowie.

POLSKA PRZED SZEŚCDZIESIĘCIU LATY.
(w roku 1861)

Pamiętam dotąd chwile owych wiosen,
Gdy serca nasze paliła tęsknota,
A bór nam szumem dębów swych i sosen
Śpiewał, jak stary rycerz wajdelota,
Rycerskie dzieje naszych ojców chwały,
Które nas czarem swoim upajały...

.
I wszystko, wszystko wciąż mówiło o Niej,
O nieśmiertelnej, co w głobowcu czeka
Na odwalenie kamiennego wieka...

ADAM ASNYK

Ginęliśmy w XVIII wieku jako państwo, stary
gmach Rzeczypospolitej rozpadał się, potrzebował
gwałtownie odnowienia, rozpoczynaliśmy jego prze-
budowę, która się nawet świetnie zapowiadała,
sąsiedzi wschodni i zachodni wstrzymali pracę na-

szą — ale jako naród nie zginęliśmy. Już we trzy lata po upadku państwa zaczynamy marzyć o zmartwychwstaniu Tej, co „nie zginęła“. Wytwarzane na ziemi włoskiej legjony myślą i sercem rwą się ku Polsce, „co w grobowcu czeka, na odwalenie kamiennego wieka“... A w skromnych rymach spowita piosenka — ułożona przez ziemianina z pod Gdańska z Bendomina, Józefa Wybickiego, — głosi światu, iż naród nie umarł, iż żyje, a gdy żyje, niepodległość, przemocą wydartą, siłą oręza odzyskaną być może; głosi, iż żywioł nadziei w piersi narodu nie zagaśł... Ten żywioł nadziei nie znikał w duszy społeczeństwa w ciągu wielu dziesiątków lat. Po roku 1831, gdy nadeszła doba długiego, niesłychanego ucisku, za rządów Mikołaja I zdawało się naszym ciemierzcom, że dzień wytopienia Polaków już świta...

Nadzieje ich zawiodły. Nie znano właściwości naszego społeczeństwa, o którym rzekł słusznie wielki wieszcz, iż „naród nasz jak lawa, zewnątrz twarda i plugawa, wewnętrznego żaru sto lat nie wyziębi“... I stało się wedle słów wieszcza. Ani uśmiechy i słodkie słówka, złudne obietnice Alexandra I, ani trzydziestoletni ucisk Mikołaja I, nie wyziębiły uczuć miłości Ojczyzny, nie uspiły, nie zniszczyły nadziei wyzwolenia się z pęt niewoli...

Europa około roku 1860 przeżywała dni pełne nadziei, iż wolność ustalona zostanie na całym jej lądzie. Zdawało się, iż przewaga siły nad prawem na zawsze skruszona, iż idea swobodnego rozwoju każdej narodowości stała się już górującą w Europie

i statecznie w niej i nadal przewodniczyć będzie; zdawało się ówczesnemu światu, że sztandar sprawiedliwości stanie się odtąd sztandarem stosunków wewnętrznych i zewnętrznych państw i narodów, że idea chrześcijańska zapanuje w dziedzinie dyplomacji. Powiew wolności, powiew nadziei dla ujarzmionych przebiegł cały środek lądu europejskiego, od cichych wód śródziemnych do wybrzeży Newy, budząc dużo złudzeń... W ciągu siedmiu lat (1856-1863) myślące warstwy społeczne, pod wpływem nadziei dla wszystkiego, co było uciśnionem, mniemały, iż postęp, którego rozwój tak zawsze powolny, przyspieszył gwałtownie swój bieg, potrzeba tylko przyłożyć dłoń do pługa, a niwa, którą zaledwie orać zaczęto, wnet się zazieleni i wnet przyniesie trzykrotne przynajmniej żniwo.

Takim szlachetnym, złudzeniom oddawał się świat owoczesny długo i statecznie.

Wypadki, które przesunęły się przed okiem pokoleń tamtoczesnych, świadczyły, iż marzenia ziszczać się zaczynają. Włochy odradzające się urzeczywistniały aspiracje wielu stuleci: widziano z podziwem, że wznosić się zaczyna budowa, której świat przedtem nie oglądał, budowa włoskiej wolności i jedności. Francja podniosła oręż, by ze swej krwi wytworzyć cement do pierwszych podstaw rzeczzonej budowy... Austria wstępowała wówczas na drogę konstytucyjną. Niemcy marzyły o zjednoczeniu swych państw, w Rosji nawet zaczęły wiać prądy lepsze... Złożywszy Mikołaja I do grobu, mniemała Rosja,

iż z nim razem pogrzebała na zawsze despotyzm, iż zamknęły się dla niej dni niewoli, a ludy, podległe jej berłu, roily o jutrzence lepszej doli... W szeregu tych ujarzmionych ludów Polacy pierwsi zapalali w swej myśli kagańce nadziei... Zawsze pochopni do łudzenia się, wówczas chyżej niż kiedy rzucili się w wir rojeń i złudzeń... Ogólny powiew lepszych pojęć, uczciwszych uczuć, jaki powiał nad światem, usprawiedliwiał poniekąd te złudzenia, szcęk zaś oręza, dolatujący z pól Lombardji (w 1859 r.), rzucał niejedno zarzewie zachęty...

Wojna o niepodległość Włoch północnych w roku 1859, stała się wypadkiem wstrząsającym umysły... Pod wpływem bezpośrednim tych walk — co się toczyły na polach Lombardji — przebiegła iskra zapалу wśród naszego społeczeństwa, obudziły się pragnienia gorętsze wyzwolenia się z jarzma niewoli... Bardzo wcześnie, bo na kilka miesięcy przed okresem manifestacyjnym u nas, już zaczęły się ukazywać na ziemiach polskich znamiona tego przebudzenia się narodu z trzydziestoletniego uśpienia. Uśpionym on jednak nie był, gdyż dążenie do wolności jest u naszego narodu wrodzonym; tkwi w głębi serc mas, a potrzeba było jedynie chwili stosownej, jakiegoś wypadku, aby ta iskra nigdy nie gasnącego znicza zapłonęła wielkimi blaski.

Zanotujemy tu, nigdy przez nikogo niepodany, nigdzie niezapisany, drobny fakt manifestacji patriotycznej — która była najpierwszą w Polsce; po niej, po kilku miesiącach dopiero, szły inne i cały

nasz kraj od nich się zaroił. Ta pierwsza była w ziemiach zabużańskich...

Znaną jest rzeczą, iż duszą narodu są u nas nieziemie starodawne — kolebka Polski Piastowskiej — ale okolice, później wcielone do zakresu naszej cywilizacji. Widzimy liczne tego objawy w ostatnim okresie rozwoju naszego. Reytan, Kościuszko, Niemcewicz, Mickiewicz, Traugutt nie wśród ziem gniazdowych starej Polski przyszli na świat. Podobnie i pierwsze samorzutne objawy życia narodu, bezpośrednio poprzedzające rok 1863, ukazały się nie nad Gopłem, nie nad górną Wisłą, ale na Zaburzu, w zaborze rosyjskim... Pierwszą, nierozgłosną manifestacją, będącą wszakże znaczącą zapowiedzią chwili, stał się śpiew hymnu „Boże coś Polskę,” co się rozległ w małym, ubożuchnym kościółku, we wsi Złoczówce, w powiecie Łuckim, między Styrem a Bugiem.

Działo się to d. 20 maja 1859 r. (now. st.). Objaw ten uczuć, manifestujących się nazewnątrz, wcale nie przygotowany, samorzutnie się ukazał, zarówno jak i pierwszy śpiew religijno - narodowy, który usłyszano na cmentarzu w Warszawie, o trzy naście miesięcy później, podczas pogrzebu generałowej Sowińskiej, wdowy znanego z bohaterskiego zgonu obrońcy Woli, w r. 1831 .. Objaw manifestacyjny majowy w roku 1859, na Wołyniu, wydarzył się w tymże dniu, niemal w tejże godzinie, gdy na pograniczu Piemontu i Lombardji, pod Montebello, padły pierwsze strzały wojny o niepodległość Włoch.

Oczywiście zaszedł tu przypadkowy zbieg faktów, który wszakże nie usuwa, nie zmniejsza doniosłości powyższego naszego twierdzenia o przemożnym wpływie wypadków włoskich, o wpływie urzeczywistniających się nadziei Włochów, na żywsze obudzenie naszych pragnień wolności, na obudzenie i nieznane prawie w dziejach rozentuzjasmowanie umysłów, które budziło nowe życie wśród społeczeństwa.

Pierwsze manifestacje — jak pogrzeb generałowej Sowińskiej, jak mało znane zebranie ze śpiewem patriotyczno - religijnym „Boże coś Polskę“, d. 29 listopada 1860 r., szczupłego grona kilkunastu osób, pod kościołem Karmelitów na Lesznie, w Warszawie — nie były jeszcze iskrą, budzącą cały naród do pełnego zapалу zmanifestowania swych uczuć. To jedynie chwile przygotowawcze do owej podniosłej doby demonstracyjnej, co wstrząsnęła do głębi całym społeczeństwem i zdołała je w krótkim stosunkowo czasie przekształcić, zwlec z jego istoty moralnej szatę niewolnika, a przeoblec w szatę godową wyznawcy, przygotować do cierpień, walk i męczeństw. Dopiero strzały żołdaków rosyjskich, które padły, na rozkaz generała Zabołockoja, na ulicach Warszawy, d. 27 lutego 1861 roku, stanowią chwilę pamiętną, punktem zwrotnym są w pojęciach, usposobieniach mas...

Krew, rozlana wówczas na bruku warszawskim, była nasieniem doby innej, doby niezmiernego podniesienia duchowego całego społeczeństwa...

Moskale nazywali te czasy „polską rewolucją moralną“. Nazwa była słusznem określeniem naszego ówczesnego stanu moralnego... Wszędzie, gdzie sięgnęło echo pieśni „Boże coś Polskę“ lub „Chorału“, gdzie lud tłumnie padał na kolana, aby błagać Pana nad Pany o wolność, oddawna znikła z ziemi naszej, o nietykalność ołtarzy burzonych przez wroga, o całość ognisk rodzinnych — tam budziło się uczucie narodowe uśpione, budziło się wzniosłe poczucie swych obowiązków wobec społeczeństwa...

Zmiany, zaszły wówczas w naszej dziedzinie duchowej, przejawiały się w sposób wieloraki i na różnych polach... Zmiany te, głównie dające się widzieć w dzielnicach kraju, będących pod zaborem rosyjskim — tam bowiem była widownia owej „rewolucji moralnej“, sięgały tak daleko, jak sięgały na północy i wschodzie granice Polski 1772 roku: już same mocniejsze uderzenia serc wśród społeczeństwa tamtych okolic świadczyły, kędy to biegną linje naszych prastarych miedz granicznych.

Rzecz dziwna, niewytłómaczona, a jednak prawdziwa, iż pod wpływem tego ruchu religijno-moralnego budziło się uczucie miłości Ojczyzny, tam nawet, gdzie go niepodobna było przypuszczać. Na dalekich krawędziach północnych i wschodnich, gdzie się napozór nici wszystkie z macierzystą ziemią zerwały, zawiązywano śpiesznie wszelkie spójnie, a miłość ku prastarej macierzy i poczucie wobec niej obowiązków wystrzelało niespodzianie wielkim płomieniem, który ogrzewał skrzepłe członki naro-

du, budził życie nowe, wytwarzał siły na dni nieznanego jutra, co miało być długą katuszą, sroższą od poprzedniego okresu niewoli... Dwuletni okres demonstracyjny (od 1861 do 1863 r.), z przeważną cechą religijną, posiadał niemały wpływ umoralniający. Modlitwy za Ojczyznę budziły ducha religijnego, nie były wcale czczą paradą, jak wielu nieświadomych mogłoby mniemać... Przenikając do głębi serc, otwierały one tajniki uczuć; pod ich promieniem tajały lody obojętności religijnej; niewierzący na skrzydłach tych modlitw wracali do dawnej wiary, ateusze nawracali się, wątpiący czerpali moc w ogólnym nastroju religijnym. Obok nawróceń zdarzały się przykłady, iż zawzięci, wieloletni wrogowie podawali sobie dłonie i podczas nabożeństw o pomyślność narodu zawierali sojuszy zgody...

Wpływ umoralniający cały nasz ogół widocznym był wszędzie, nawet dla wroga, który nie miało się frasować, patrząc na podniesienie ducha, uszlachetnienie myśli społeczeństwa... „Moralna to rewolucja“, wołali oficerowie rosyjscy i rozmaitego rodzaju siepacze, — „cóż my z tem poradzimy?...“ Wieść o tej moralnej rewolucji biegła w głąb caratu. Zdarzało się, iż wówczas (w 1861 r) przybywali umyślnie turyści rosyjscy z Petersburga do Warszawy, aby zobaczyć ową „moralną rewolucję“ — i wracali zdumieni: dla ich umysłów, nawskroś przesiąkniętych materializmem, były to objawy zbyt trudne do zrozumienia.

Widziano wypadki, że nawet działwa szkolna ulegała magicznemu wpływowi chwili podniosłej, podczas owej doby niezwyklej — rzucała się ona z zapalem do nauk i okazywała w roku 1861 większe postępy, niż w innych, poprzednich latach. — „To intryga polsko - xiężowska“ — wołał dyrektor gimnazjum (Rosjanin) w Równem, na Wołyniu, gdzie to zjawisko zaobserwowano, wołał z całym chórem nauczycieli Rosjan i pisał denuncjacje na młodzież polską, powierzona swej pieczy, a dopiero wówczas się uspokoił, gdy ksiądz, katecheta szkoły i jedyny nauczyciel Polak, zostali porwani i bez sądu wywiezieni na wygnanie... Duch podniosły, umoralniający, powiódł ponad społeczeństwem, nie opuszczał więc i serc młodocianych; owszem, odbijał się w onych sercach najdobitniej...

Żałobną szatą wreszcie okrył się naród od Warszawy aż po górny Dniepr i Witebsk.

Obcy wędrowiec, zwiedzający w owym pamiętnym roku Królestwo Kongresowe, Litwę i inne prowincje zaboru rosyjskiego, zdumiałby się, widząc, iż żałoba okryła całe społeczeństwo, iż czarna szata powiewa na wielkich obszarach, jakby mówiąc, że uczucie jedno i toż samo jedno czy ziemie te, od wielu lat rozjednane, iż wszyscy w tem jednym uczuciu miłości Ojczyzny, we wspólnym bólu nad jej cierpieniami, łączą się w jedno koło rodzinne... Lecz poza tym wewnętrznym objawem uczuć i zarazem solidarności,

ktoś znający bliżej stosunki miejscowe, ludzi, ich sprawy, pobudki owych spraw, znalazłby bezwątpienia jeszcze coś więcej, znalazłby zjawiska jeszcze inne, sięgające bardzo głęboko do dziedziny ducha społeczeństwa. Chwile te niezwyčajne podnosiły ku wyżynom jednostki i tłumy. Prawie rzec, można iż w powietrzu czuleś powiewy jakieś niezwykle, umoralniające, uszlachetniające. Wiara w przyszłość lepszą, nadzieja rychłego ziszczenia pragnień powszechnych, napełniała i przepełniała serca, wytwarzając nastrój ogólny radosny i niemniej uroczysty. O bliskich zawodach, o bolesnych rozczarowaniach, stojących tuż obok — niejako za ścianą, wcale nie myślano, przeczuwały je może jednostki, ale nie masy... Wierzono w lepszą przyszłość, niewiele zdając sobie sprawy, jaką drogą i za pomocą jakich środków ona ma nadejść.

Wielki wieszcz narodu, Adam Mickiewicz, prawie na dwadzieścia lat przed owymi pamiętnymi dniami, przewidywał nadejście epoki, która, strąsając z nas pył brudu ziemskiego, podniesie duchowo i uczyni — acz bezbronnych — strasznym dla wroga... Mistrz, w jasnowidzeniu przyszłości mówił:... „Od samego widoku świętej niewinności, potężnej wiary, piekielny potwór musi ginać, złe nie wytrzyma tego blasku... To nasze dzieje, to nasza przyszłość. Stańmy się nieskalani i prości, silni prawdą ducha, a smok piekielny sam się rozpadnie... Straszny to i potężny nieprzyjaciół w walce na siłę cielesną; zwojuje Królestwa i narody i nic mu się nie ostoï, co

walczy jego bronią... jedna broń ducha, siła prawdy i wiary — ta go pokona“...

Powyższe hasła poety - myśliciela stanowiły przedniejsze wyznanie wiary tłumów, które z hymnem „Święty Boże“, ginęły na bruku warszawskim, które podczas dwuletniego okresu manifestacyjnego, przekształcały się duchowo, starały się być, jak mówił poeta, „nieskalani i prości, siłni prawdą ducha“... Ta siła nieziemską wytwarzała atmosferę ekstazy, jaką ludzie ówczesni nosili w swoich piersiach, ta siła stała się udziałem całej cizby owej rzemieślniczej młodzieży, która zaciągała się pod sztandary tajemnego sprzysiężenia, co wyłonił z siebie później ruch zbrojny styczniowy, która w okresie styczniowego powstania szła na bój z wrogiem bezbronna, ale wierząca w zwycięstwo...

W chwili gdy obecnie myśl nasza cofa się o lat sześćdziesiąt wstecz, pamięć stawia przed nami te niezwykle tłumy ludzi ówczesnych, przebywających w krainie lazurowego marzenia, w uniesieniach niegasnących, a wywołujących poświęcenia, szlachetne czyny, wytrzymałość na męczarnie... Imiona ich w znacznej części zapomniane, historia nie zebrała ich i zapewne nigdy nie zbierze z niwy zatracenia. Wróg w swych rocznikach mienił ich szaleńcami, składając w ten sposób sobie samemu świadectwo ubóstwa myśli, wielkiej nędzy ducha, co nie mógł zrozumieć, na jakie wyżyny wspinać się mocen człowiek, który wyrósł na podścielisku wyższej kultury chrześcijańskiej... Ten nastrój niezwykle wróg prag-

nał zniszczyć, utopić w fali krwi, dnia 8 kwietnia 1861 roku, pod murami zamku warszawskiego — nie zdołał wszakże... Kule moskiewskie nie rozerwały węzłów zbratania stanów, połączenia serc. Gdy jedni, znienacka zaskoczeni, ginęli pod kolumną Zygmunta, napływały nowe tłumy na odgłos strzałów, chcąc ginąć z braćmi, napływały skwapliwie, jakby się obawiały, że ich ktoś może ubiec w męczeńskim zgonie. Z Podwala, ze Świętojańskiej, z Piwnej, z Senatorskiej płynął strumień tłumów, gotowych na śmierć, strumień bezbronny z hymnem błagalnym „Boże coś Polskę“ lub z „Chorałem“ na ustach i w sercu — jedyny to był ich oręż, jedyny puklerz, jedyne pragnienie, by ginąć wraz z innymi... Warszawa nigdy, ani przedtem, ani później tak wysoko nie podniosła czoła przed przemocą, nigdy nie stanęła na tak świętej wyżynie męczeństwa, jak w ów pamiętny wieczór 8 kwietnia 1861 roku... Moskwa noc całą zbierała trupy i rannych, których lud nie zdołał unieść i ocalić, a to, co zebrała, topiła w Wiśle, bądź grzebała tajemnie w fosach cytadeli... takich ofiar było ze 300...

Od grzmotu tych strzałów, ani od obficie krwią przelanej nie zagasł podniosły duch pokolenia ówczesnego. Rzeź u stóp pomnika Zygmunta, stała się błyskawicą, rozświetlającą na zachodzie europejskim polską niedolę i niezwykły, bohaterski nastrój społeczeństwa polskiego. Strzały i mord w Warszawie mienić można hasłem, wywołującym nowe olbrzymie demonstracje na szerokich obszarach ziem polskich.

17 lipca 1861 roku w Dubience nad Bugiem, gdzie hołd składano wspomnieniom walki Kościuszki, w Kownie w sierpniu obchodzono unję Polski z Litwą, a wreszcie 10 października na polach Horodła olbrzymia manifestacja, stwierdzająca prawie pięciowiekową łączność ziem rdzennie polskich z ziemiami Jagiellowemi — to były w roku 1861 główne objawy życia Rzeczypospolitej, zgładzonej przed kilkudziesięciu laty. Zjazd Horodelski mienić się może kulminacyjnym przejawem owych dni manifestacyjnych. Na wzgórzu pod Horodłem zeszli się byli synowie prastarej Rzeczypospolitej, zeszli się z dużych obszarów, z Wilna, z Nowogródzkiego, z Podola, z Wołynia, z pod Gdańska, zeszli się, by sobie dłoń bratnią podać, spojrzeć w oczy i rzec — że się jeszcze żyje.

Były to dni, świadczące bezzaprzeczenia o życiu narodu... Czasy niezwykle nietylko budziły z uśpienia, lecz wlewały życie nowe, rzucały malutkie nasionka przyszłości dalekiej, nieznanej, która bardzo wnierychło, na mogiłach następnych pokoleń, miała się zazielenić, zbożnym posiewem.

Dziś, gdy „ta nieśmiertelna“ już nie „czeka na odwalenie kamiennego wieka,“ gdyż kamień grobowy odwalony i naród powstaje z mogiły niewoli, w której zbyt długo spoczywał, jak ów Łazarz „ze związanemi rękoma i obliczem zasłoniętem,“ powinniśmy co prędzej otrząść się z pleśni grobowca i zdjąć z oczu i nóg naszych przepaski, utkane z obcych sztandarów, któremi niewola nas opowila... Powinniśmy do świątyni narodowej nie

wnosić obcych bogów, ku ucieście nieprzyjaciół. Mamy swój własny sztandar, krwią powstań naszych narodowych ochrzczony, męczeństwem całych pokoleń uświęcony; pod żadne obce chorągwie partyj zaciągać się nie możemy.. Pamiętajmy, iż otoczeni wrogami, rękojmię zwycięstwa mamy jedynie w jedności i zgodzie, gdyż „nie siła ciała lub oręża daje zwycięstwo, lecz ta spójnia ducha, co z tłumów czyni olbrzymiego męża, gdzie każdy tylko wspólnych natchnień słucha.“

Kraków, w marcu 1921 r.

KILKA MYŚLI O POWSTANIU STYCZNIOWEM.

Liczne pióra, które w ciągu ubiegłych kilkadziesięciu lat skreśliły większe lub mniejsze monografie i szkice o powstaniu Styczniowem, nie zwracały uwagi na niektóre cechy charakterystyczne, jakie spostrzegamy podczas walk doby ówczesnej.

Przedewszystkiem żadne z powstań naszych nie objęło tak wielkich obszarów, jak powstanie Styczniowe, Kościuszkowskie czy Listopadowe walki nie sięgały poza Dźwinę, do Inflant polskich; nie walczano na dalekich kończynach ponad górnym Dnieprem; nie poruszył się żaden Kaszuba, by biec pod Mławę czy Płock dla połączenia się z powstańcami. I o pomorskich kresach któżby wówczas myślał. O lesiste wybrzeża Irpenia pod Kijowem nie obijało się echo nawoływań bojowych, ani za dni Kościuszki, ani podczas powstania 1831 roku... Tymczasem w roku 1863 wytrysnęły we wszystkich tych okolicach

większe lub mniejsze zbrojne ruchy; niekiedy wprowadzie chwilowe, szybko i srodcie uśmierzane, twardą pięścią represji gwałtownej tłumione; lecz niemniej krew naszej młodzieży, przelana w wielu potyczkach, wyraźnie zarysowała wschodnie i północne granice dawnej polskiej Rzeczypospolitej... Przypomniały się światu tak dalece te stare miedze nasze, iż Murawjew uważał za stosowne, a nawet konieczne, obsadzić strażą z wieśniaków rdzennie rosyjskich granicę północną Rzeczypospolitej... Przeszła ona poza Korsówką, na Inflantach polskich, tylko o 365 kilometrów od Petersburga...

Tymczasem słuszność zupełną miał Murawjew: linja owych straży szła śladem kopców granicznych, oddzielających niegdyś państwo polskie na północy od dziedzin państwa rosyjskiego. Straż zaś miała na celu przeciąć wszelką komunikację zrewoltowanych prowincyj polskich z Rosją, by powiewy wolności tam się nie przedarły.

Mówiono wówczas, że ze sfer kierujących polityką we Francji, skąd płynęły mniej lub więcej wyraźne nadzieje zbrojnej interwencji w naszej sprawie, rzucone było walczącym hasło: jak daleko posunie się powstanie na wschód, tak daleko sięgną granice Polski wyzwolonej...

Sądzę, że te hasła ze sfer rządowych francuskich nie wyszły, że są legendą późniejszą; w każdym zaś razie nie mogły wpłynąć i wcale nie wpłynęły na szybkie, a tak bardzo szerokie rozlanie się powstania, iż jego echo, powstawszy nad Wisłą, zna-

lazło oddźwięk w okolicach zaniemeńskich i zabużańskich, przedarło się za Dźwinę i posłyszano wreszcie szczęk oręża powstańczego na dalekich, wschodnich skraiskach Polski.

Był to objaw samorzutny społeczeństwa, które jeszcze swem życiem niezbyt odległe było od doby, brzemiennej wielu nadziejami wojen Napoleoniskich, dla którego tradycje czasów przedrozbiorowych były tak bliskimi, jak dla dzisiejszej młodzieży powstanie Styczniowe... Jeszcze w Warszawie ówczesnej żył niejeden starzec, który słyszał w łatach swych dziecięcych jęk wyrzynanej Pragi przez żołdaków Suworowa, a Wilno dobrze pamiętało, jak Jasiński wypędził Moskwę poza Ostrą-Bramę.

Tradycje niepodległości z całą mocą górowały w umysłach, wzdychano do jej powrotu, nie przypuszczano, że zaledwie XIX stulecie upłynie, instynkt dążności do bytu niepodległego zostanie wśród znacznej części społeczeństwa zatracony.

Nietylko owo szybkie rozszerzenie się powstania Styczniowego po całym obszarze zaboru rosyjskiego i udział w niem znaczny dwóch innych zaborów jest objawem charakterystycznym tamtoczesnej chwili dziejowej, lecz zasługuje na szczególną uwagę, iż każda z rzeczonych dzielnic z niem się solidaryzowała, uznawała za swe narodowe; wszystkie, bar dziej lub mniej umiarkowane czy też ruchliwsze koła społeczeństwa czynem, myślą, ofiarnością, niejednokrotnie znaczną, składały dowody zupełnego zespolenia się z tą walką krwawą...

Stawali w szeregach ofiarnych i możni i ubodzy, ordynaci i szaraczek zaścianka; i jeden i drugi niósł swój grosz do skarbnicy potrzeb narodu... Podobnie i w zbrojnych szeregach i w zabiegach, trudach organizacji cywilnej, obok synów starych rodów, widziano pracujących, walczących, ginących — młodzieńców, starców, ludzi dojrzałych i pacholeta, za ledwie dobiegające do dni młodości, którzy wyszli z pod ubogiej, małomiasteczkowej strzechy lub z warsztatu rzemieślnika... Wszyscy poczuwali się do pewnych obowiązków wobec sprawy narodowej; nikt nie usuwał się, nie wymawiał, nie zasłaniał się fałdami jakiegoś partyjnego sztandaru, by pracy uniknąć, życie, bądź mienie zachować...

Każdy, kto dziś poważnie zechce studjować owe dni niezwykle w życiu naszym dziejowem, w mych słowach przesady nie znajdzie. Fakta same za siebie mówić będą i wskażą prawdę mych słów...

Duchowieństwo w powstaniu Styczniowem tak wielki, powszechny udział wzięło, jak w żadnym z poprzednich, chociaż wróg srożył się i pastwił nad niem, wcale nie ukrywając, iż jednym z głównych celów Moskwy w Polsce jest ustalenie prawosławia nad Wisłą — jak go już zaszczerpiono między Dnieprem a Bugiem, i poniesienie jego sztandaru nad Łabę, w głąb Europy.

Duchowieństwo polskie ówczesne, szczególnie w Królestwie, na Żmudzi i w innych prowincjach Rzeczypospolitej, również świeckie, jak i zakonne,

zszeregowało się, w obronie ideałów narodowych i religijnych, wstrzymywało nacisk schyzmy na Polskę, broniło wschodnich szanów katolicyzmu... W tej szlachetnej obronie poniosło ono strat niemało. Wieszano księży za to, że nieśli słowo pociechy religijnej; tracono ich również w Warszawie, na stokach cytadeł, w Wilnie, na Łukiszkach i w miastach mniejszych; dziesiątkami wysyłano ich na Sybir... Wówczas świeciły przykładem duchowieństwu naszemu nigdy niezapomniane postacie takich biskupów, jak Szczęsny Feliński i Paweł Rzewuski, dobrzy pasterze, co dawali życie za owieczki swoje; poszli i oni drogami wygnania podobnie, jak całe zastępy kapłanów... Poszli temież szlaki jasyru i inni biskupi, z których dwaj — biskup sejneński, hr. Łubieński, i unicki chełmski, biskup nominat Kaliński, zostali otruci w drodze na wygnanie, by szybciej pozbyć się gorliwych obrońców katolicyzmu.

Zbrodnia dzika, dokonana nad Łubieńskim, to wielkie memento dla tych, co sądzą, że sprawiedliwość obudzi się w umysłach działaczy rosyjskich, iż porozumienie z Rosją możliwe. Łubieński do takich należał; ulegając złudzeniom, które od wieków snują się pod mrocznemi sklepieniami prastarych izb Watykanu, mniemał nieszczęsny, iż zbliża się chwila, gdy Rosja zjednaną być może dla katolicyzmu; wyciągał więc ku niej dłoń życzliwą. Na przyjaźń trucizną odpowiedziała Rosja, zawsze przebiegła, mściwa i okrutna, umiejąca w pole wyprowadzić najbieglejszych nawet dyplomatów, a Po-



lacy wszakże nigdy nawet miernymi dyplomatami być nie umieli...

Marzenia i łudzenia się takie — nazwane później ugodą, a łudzących się ugodowcami — już po upadku powstania kielkować i puszczać coraz bujniejszy kłos zaczęły, w latach późniejszych zakwitły, gdy pęta niewoli coraz bardziej zacieśniano: podczas lat 1863 i 1864 od takich złudzeń dalekiem było społeczeństwo...

Do późniejszych to pokoleń mówił nasz lirnik mazowiecki:

„Kto wierzy, że ugłaska wściekłość Moskwy cara,
Albo że sprawiedliwość w sferach tych obudzi,
Marzyciel nieszczęśliwy, zbyt się słodko łudzi...
Nim tę glinę Prometej przekształtuje w ludzi,
Po jednej kat z toporem, po drugiej ofiara,
Wciąż się czerwienieć będą, lub nad podłych trzodą
Niewolników przeciągnie ciska, zwana — zgodą...”

Pewna jedność celów, dążeń, zaprzęgająca tłumy w ten lub inny sposób dla służby w sprawie ojczystej, sprawiała, iż wstydziliby się, najobojętniej: si nawet, zwracać się bodaj myślą do Moskwy; nikt do Petersburga nie uciekał, jak to niektórzy, wyjątkowo wprawdzie, ale czynili, za dni walki listopadowej, jak to znacznie później, w chwilach ważnych dla kraju, uczynili inni... Nawet Wielopolski nie pojechał do Petersburga, by „mącić w kadzi narodowej,” ale wyruszył na wyspę Rugę...

Wszystko, co było w kraju, poddawało się władzom powstańczym z jednomyślnością, u nas rzadko spotykaną... Na czele wszystkich urządzeń powstańczych, u steru całej administracji stał „Rząd Narodowy“, rezydujący w Warszawie, który, acz ukryty, znany tylko najwyższemu stojącemu kołom i czynnikom organizacji, posiadał posłuch zupełny na całej przestrzeni ziem polskich. Przed jego powagą uchylano głowę; spełniano bezwarunkowo wszystkie rozkazy tego Rządu, zakomunikowane przez urzędników organizacji powstańczej... Te rozkazy były bardziej szanowane, posiadały moc większą, niż wszystkie rozkazy cara lub jego urzędników. Na zewnątrz przedstawicielką Rządu Narodowego była pieczęć: przed tym symbolem władzy i zarazem idei, dla której niesiono w ofierze wszystko, korzono się, widząc w owym symbolu wolę narodu. Instytucja Rządu Narodowego i jego organizacja władz powstańczych, sięgająca aż do dalekich kończyn Polski, wszędzie, gdzie płynęła krew na niezliczonych pobojuwiskach, są wyłącznym wytworem powstania Styczniowego i godne są głębszych studjów.

Studja te wszakże spotykać się będą z przeszkodami nie do zwalczenia, z powodu braku źródeł. Archiwa zaginęły, zniszczone przeważnie w chwilach porażek i niebezpieczeństw; a późniejsze nasze bądź obce prace zachwasczały nieraz grunt badań i zaciemniały raczej, niż wyjaśniały niejedną kwestję, gdyż do badań przystępowano wielokroć z uprzedzeniem, niechęcią, przystępowały czasem lekko-

myślne pióra... Ktoś wyrzekł, i może słusznie, że powstanie Styczniowe wielu miało historyków, ale nie posiada historii!

Tak, z małemi wyjątkami, niema historii wyczerpującej a bezstronnej owych wielkich, ofiarnych dni lat 1863 i 1864. Pokolenia późniejsze, jeżeli zasiądą do jej opracowania, walczyć będą zmuszone z większemi jeszcze trudnościami, niż zastępy obecnych badaczy, gdyż maluczko, maluczko, a zabraknie ostatnich świadków i uczestników tej doby dziejowej, którzyby mogli niejedną rzecz mylną, błędzącą w labiryncie legend, sprostować lub wyświecić.

Z postaci, które bieg wypadków wyprowadził na widownię szerszą, co stanęły u lemieszu sprawy narodowej, jakiś Plutarch polski w przyszłości mógłby wytworzyć szereg wzorów dla naszych młodych, najmłodszych pokoleń..

Nie chwila, ani też miejsce bodaj nazwiska ich tu przytaczać; poprzestajemy jedynie na charakterystyce jednego z nich — Traugutta, którą piękne pióro Stanisława Krzemińskiego, b. członka Rządu Narodowego (zmarłego dnia 29 listopada 1912 roku) tak skreśliło w liście, nieprzeznaczonym zdaje się, do druku.

...„W rozmowach z Trauguttem buchała od niego gorąca, rozrzewniająca mistyka, w której Bóg, Polska, wiara w duszach ludzkich, konieczność zmartwychwstania spływały w jedno wielkie słońce, dziś chmurami zakryte, ale rzeczywiste; dla okazania swej mocy potrzebujące tylko czasu, tylko starcia

się potęg wrogich między sobą... Nadzwyczajną pobożność tego Kościuszkowskiego, jeśli nie wyższego jeszcze uczuciowością, serca, życie ascetyczne, wyzbycie się wszelkiego egoizmu, gotowość pójścia na ofiarę, niejako rzucenie się na stos ofiarny — nadawały indywidualności mistyka charakter jakby świętego. Nie pozwalał urok ten, bijący na słuchacza, kazić tych białych lilij anielskich najlżejszym nawet pyłkiem powątpiewania, krytyki, zastanawiania się rozumowego... i jakaś trwoga we mnie, by mu mistycznego zachwytu nie odebrać, szczęścia wiary, jedynnej niteczki łączącej z życiem — zamykała mi usta... Słuchałem i wielbiłem — miałem, jakby jasnowidzenie w jaskini... Słowo moje, ani niczyje nic by nie zmieniło, ani w losie wielkiego serca, ani w kolejach i nieuchronnem przeznaczeniu tych sił zbrojnych, które jeszcze z Bosakiem szczęśliwie trwały przez zimę w Sandomierskiem — i przetrwały...

„Na takie postacie — mówi dalej Krzemiński — patrzeć trzeba nie jak na polityków oczami polityka, ale jak na człowieczeństwo, do najwyższej potęgi podniesione, oczami człowieka. Takich postaci nie zna Europa; to też nie zna naszej męki, naszego pędu od Boga, jako twórcy, wodza, patrona i wybawiciela narodów, i naszej straszliwej za każdym zapędem tragedji...

„Był Traugutt może ostatnim poetą czynu Polski okresu romantycznego... taka światłość, skoncentrowana w jednej osobie, była jakby niezziemskim zjawiskiem... ta twarz nieładna, nie uderzająca wca-

le rysami, piękniała w ogniu mistyki, która była religią nie tylko Polaka, ale i człowieka. Stąd takie wrażenie i takie zapamiętanie i pragnienie też, aby kiedyś jaki artysta słowa, szczerzy poeta, na historyku, poszukiwaczu prawdy zaszczerpiony, mógł znaleźć dość tworzywa do odtworzenia tej postaci poza obrębem polityki... postaci, taką cześć wzbudzającej...”

Wpatrzywszy się w ową przeszłość walk 1863 i 1864 roku okiem tych, którzy na nie patrzyli, udział w tych pracach brali, przesunę się w naszej pamięci niemało jednostek, pokrewnych duchowo temu tajemniczemu dyktatorowi, stanie przed nami nie jeden z tych pracowników, co wierzyli w bliski tryumf idei Chrystusowej w stosunkach ludzi i narodów, w polityce państw, iż z krwi naszej, wówczas przelanej, z kości, rozrzuconych na wielkich rumowiskach upadłej Polski, powstaną czasy nowe, dla nas i dla świata...

Ufajmy, iż przyszłość urzeczywistni marzenia pokoleń, które żyły, walczyły, cierpiały, przed pięćdziesięciu laty.

Kraków, w styczniu 1916 r.

ŻOŁNIERZE POWSTANIA STYCZNIOWEGO.

„Z przeszłości ucz się, przyszłość oddaj Bogu,
Uczciwie pracuj na rodzinnym progu“..

Pięćdziesiąty siódmy rok rozpoczyna się od chwili, gdy podczas wilgotnej, mglistej chmurnej nocy styczniowej w trzydziestu kilku miejscowościach Królestwa kongresowego, gromady młodzieży, mało uzbrojone lub wcale nieuzbrojone, uderzyły na załogi moskiewskie. Była to pamiętna noc 22 stycznia 1863 roku... Od owej nocy rozpoczyna się bój długi, niezmiernie krwawy, na wielkich przestrzeniach całego zaboru rosyjskiego; od rogatek Kalisza sięga do bram Kijowa, od wawozów Ojcowa, pod Krakowem, poza wybrzeża Dźwiny i górnego Dniepru. Płomień walki, rozżarzony w niewielkich ogniskach, rozszerzał się szybko, buchnął łuną, szeroko rozlewającą się, przygasał niekiedy, to znowu rozpłomieniał się i iskry rzucał dokoła. Tak trwała ta

walka nierówna z przemożnym, stokroć silniejszym wrogiem około szesnastu miesięcy... małe iskry płomienia gasnącego tlały nawet dłużej...

Zadne z powstań uprzednich, ani insurekcja kościuszkowska, ani powstanie listopadowe, nie trwało tak długo, nie walczyło z tak nierównymi siłami, nie było tak krwawo tłumione, nie było zmuszone bój toczyć, mając w swych szeregach wyłącznie niewyćwiczonych partyzantów, jak to widzimy w powstaniu styczniowym. Uprzednie nasze walki o wyjarznienie — kościuszkowska i listopadowa — opierały się przeważnie na wojsku regularnem, wprawdzie mniej liczmem, niż nieprzyjacielskie, lecz wyćwiczonem. W powstaniu styczniowym wszystko było improwizacją, wszystko stawało doraźnie: z niczego tworzone. Część tylko i to bardzo mała dowódców składała się z ludzi z wojskowem wykształceniem, inni zaś to byli improwizowani wodzowie oddziałów ochotniczych, ale i ci przewódcy improwizowani — jak Jankowski, xiądz Mackiewicz, Dłuski (znany pod nazwą Jabłonowskiego, Wiślouch, Borełowski (Lelewel), Cieszkowski i inni — umieli dorównać, niekiedy nawet przewyższać fachowych wojskowych. Walka partyzancka stawała się szkołą przewódców tej partyzantki, pierwszy raz u nas na większą skalę prowadzonej. Wytworzyła ona swego rodzaju nieznanych wodzów gerylasówki, a nazywanej u nas niegdyś „małą wojną“ lub „partyzantką“...

Powodzenie Hiszpanów, prowadzących „gerylasówkę“ w walce z przewagą, tak potężną, orę-

za francuskiego, za dni Napoleona, zawdzięczano po części warunkom topograficznym; u nas zaś zwycięstwa, niekiedy otrzymywane, przez powstańcze zbrojne gromady, wytworzyły męstwo niezrównane i ofiarność bezbrzeżną żołnierza obozów powstańczych. Nie posiadaliśmy gór i wąwozów do zdobycia trudnych, zastąpiło je męstwo i poświęcenie żołnierza-powstańca.

Dużo pisano u nas o niejednym z wodzów powstania, lecz o żołnierzu-powstańcu, jego bycie, jego właściwościach, zasługach, cierpieniach, cnocie żołnierskiej i wielokrotnem bohaterstwie, zapomniano. Mówiono o nim, a nawet niekiedy uwłaczano mu, twierdząc, iż często uciekał. Gdy tymczasem te ciche postacie, dziś w małej liczbie dogorywające w przytułisku Krakowa lub Lwowa, marznące i głodem trapiące w obecnej szczególnie epoce ciężkich warunków życia — na bruku naszych miast i w lepiankach wiosek, ci starcy, przeważnie bezdomne sieroty, to wielokroć nieznani bohaterzy... O nich głucho milczenie. Pragnę je przerwać w tym krótkim zarysie w rocznicę pięćdziesiątą szóstą walki ciężkiej a zaszczytnej o wyjarzmienie, pragnę zwrócić uwagę na ówczesny byt żołnierza-powstańca i warunki, w jakich walczył.

Żołnierze powstania styczniowego szli przeważnie od hebla, kielni, piły, igły lub kopyta, to głównie synowie małomieszczańskich rodzin, to młodzież rzemieślnicza. Obok nich młodzież szlachecka poważny stanowiła zastęp. Legenda, że lud

siermiężny nie brał wcale w walce udziału, jest mylną. W Królestwie był pewien procent młodzieży z pod strzech wieśniaczych, ale zbyt mały. Na Żmudzi tylko wieśniacy w niektórych okolicach tłumnie gromadzi się pod sztandar powstańczy; oddziały x. Mackiewicza i Sierakowskiego były nim przepełnione, a chłop żmudzki Łukaszunas miał „partję“, złożoną z samych wieśniaków. W kobryńskim, w obozie powstańczym Traugutta, słyszano pieśni białoruskie, co świadczy, iż był tam w szeregach żywioł ludowy, lecz również nieliczny. Gdyby był zapas broni, tłumy ludu możnaby było poruszyć.

Losy żołnierzy powstania styczniowego dwukrotnie miały okresy nader ciężkie: na początku i przy końcu powstania. Chociaż pierwsze dni po wybuchu były łagodne, bez mrozu; niemniej styczniowe mgły i ciągłe deszcze wytwarzały warunki ciężkie dla tych pierwszych szeregów, nieprzyzwyczajonych do ciągłej wilgoci, do śpiesznych marszów. Wskutek wprowadzonej przez Wielopolskiego tak zwanej „brańki“, za pomocą której chciał się pozbyć najbardziej patriotycznej i najgorętszej młodzieży, wychodzono pośpiesznie głównie z Warszawy, bez stosownego odzienia i obuwia, co najgorsza bez dostatecznej ilości broni, często bez żadnej broni, oprócz kijów... Zapal patriotyczny unosił ich tak daleko, iż mówili: „z kijami zdobędziemy karabiny, a z karabinami działa“... — i w pierwszych chwilach bezbrzeżnego zapалу rzeczywiście parę razy

zdobyli działa, acz sami nie posiadali broni; lecz brak narazie koni i artylerzystów, wogóle ludzi, umiejących sobie poradzić z armatami, nie pozwolił skorzystać z cennej zdobyczy... Pierwsze obozy powstańców były na pierwszy rzut oka dziwnie smutne. Składały się z szalaszów, splecionych pośpiesznie z gałęzi na ziemi przesiąkniętej wilgocią, około których dymły się ogniska, gasnące pod wpływem słoty.

To były pierwsze obozowe stanowiska przyszłych żołnierzy powstania. Gromady luźne wprzódce uszykowały zaczęto w szeregi o większym ładzie, i chociaż lasy pozostały i nadal główną twierdzą powstańców, wszakże w dalszym rozwoju wypadków wioski i miasteczka — szczególnie na wiosnę i latem — stały się dla nich schronieniem i miejscem wypoczynku. Żołnierz polski zdolny jest bardzo do wojskowości; w miejscowościach więc niektórych, w Królestwie — przy sprzyjających okolicznościach — uczył się nader prędko musztry, obrotów wojskowych i służby obozowej. Brak broni lub niedostateczna jej ilość, stanowiły przez cały czas walki ciągłą troskę i szkopuł, o który rozbijały się największe wysiłki waleczących, najlepsze plany dowódców.

Jedynym naszym sprzymierzeńcem w walce tak bardzo nierównej był Bóg i Najświętsza Panna Częstochowska. Jej wizerunki widziano na chorągwiach oddziałów powstańczych; gdy tymczasem wróg korzystał z pomocy państw zaborczych, Austrii i Prus, które konfiskowały broń, sprowadzaną z zagranicy

za drogie pieniądze i z przewyciężeniem licznych trudności.

Karność w oddziałach była rozmaita. W niektórych tylko mogła się nazwać wzorową, gdzie dowódca miał dłoń twardą, jak Czałchowski, Traugutt, Jabłonowski, Zygmunt Chmieliński; wogóle była luźną. Poczucie obowiązku i miłość Ojczyzny stanowiły trwałe cement, skupiający jednostki bojowe w szeregi: zresztą karność zależała najczęściej od energii dowódcy, albo od szacunku i przywiązania, jakie zdołał on obudzić u swych żołnierzy... W późniejszych miesiącach walki, w Królestwie głównie, wprowadzono umundurowanie: było ono różnorodne, często może malownicze, ale niezawsze praktyczne. Wśród różnych rodzajów broni spotykano kompanie kosynjerów. Ilekroć kosynjerzy rzuceni byli na regularne szeregi, prawie zawsze szerzyli wśród nich popłoch. W lasach trudno było użyć kosynjerów, lecz użyci ze zwycięstwem do obozu wracali; Moskale bowiem obawiali się kosa bardziej, aniżeli innej broni. Widok kosynjerów, szczęk zbliżających się kos, wprawiał w przerażenie nieprzyjacielskie szeregi, nieprzyzwyczajone do walczenia z tego rodzaju bronią. Uderzenie kosynjerów w ataku odznaczało się śmiałością i siłą. Wyłącznie prawie wieśniacy służyli w tej broni. Żmudzczy chłopci w oddziale księdza Mackiewicz, uzbrojeni w kosa, sześć razy odbili pod Ginetami (dnia 22 kwietnia 1863 r.) ataki wojsk nieprzyjacielskich.

Piszący te wyrazy dobrze pamięta przerażenie pewnego rosyjskiego kapitana, który nawpół oszalały,

wracając z potyczki, będącej dla niego porażką (d. 7 maja 1863 r.), wpadł do Białej Radziwiłłowskiej na Podlasiu, wołając: „prawdziwy to był sądny dzień, gdy ci kosynjerzy zaśpiewali „Boże coś Polskę“ i rzucili się na nas... walczyłem na Krymie z Francuzami i Anglikami, pod Inkermanem; byłem w wojnie z Turkami pod Kalafatem i Szumłą, a nic podobnego nie spotykałem“...

Takich ataków śmiałych, takich przerażeń nieprzyjacielskiego żołnierza wobec szeregów powstańczych oddziałów, wogóle mało wyćwiczonych, źle uzbrojonych, często śmiertelnie znużonych, można byłoby dużo naliczyć, gdyby owe czasy miały swoich rocznikarzy. Ich nie było; i nikt nie opiewał czynów żołnierza polskiego w powstaniu styczniowym.

Po latach dopiero, zastanawiając się nad ciężkimi warunkami walki w powstaniu styczniowym, jeden z dziejopisów owej niezwyklej doby, mówi: „...w tak trudnych warunkach zagrzani miłością Ojczyzny, wytrwali prawie półtora roku, a żaden europejski żołnierz nie wytrzymałby nawet kilku miesięcy... Idąc do powstania, musiał niemal każdy dążyć tajemnymi ścieżkami, pewny, że jeżeli go Moskale pochwycą, zostanie powieszony lub wygnany... Ledwo szczęśliwie minął przeszkody i stanął w lesie, na punkcie zbornym, już musiał zaraz się bić, zanim nauczył się władać bronią“...

Żołnierz powstania styczniowego nie zaznał nigdy hańby kapitulacji. W ciągu półtorarocznej prawie walki ani jeden oddział nie złożył broni. Na to

zjawisko, tak rzadkie w dziejach wojen, dotąd nie zwracano uwagi, a to jest chlubą niezwykłą ówczesnego żołnierza-powstańca. O tej chlubie powstania styczniowego nie zapominajmy. Zwycięzeni, zdziśiatkowani, osaczeni, nieraz rozpierzchali się, ale nigdy nie poddawali się. Bywały nawet przykłady, że wszyscy z oddziału polegli, a żaden nie złożył broni. W wiełuńskim, mały oddziałek, z siedemnastu ludzi złożony, pod dowództwem podoficera, otoczyła kompanja piechoty, licząca ze 200 żołnierzy. W pierwszej chwili walki Moskale ujęli owego podoficera i wnet go na drzewie powiesili, wzywając pozostałą garstkę powstańców do poddania się. Odpowiedzieli na tę propozycję salwą karabinową; otoczyli drzewo, na którym wisiał ich dowódca, walczyli parę godzin i wszyscy polegli... Nazwiska tych bohaterów uniosła fala zapamięnienia.

Życie żołnierza-powstańca było nader biedne. Niesiono wprawdzie pomoc do obozów powstańczych, ale czyniono to z narażeniem życia; i zresztą, obozowiska, z natury rzeczy, jak w każdej wojnie partyzanckiej, często zmieniały swe stanowiska. Potrzeba było niejednokrotnie długo wśród lasów, a jak na Litwie to wśród bagien, trzęsawisk, puszczy bezdrożnych, szukać oddziału powstańczego, aby mu zawieść nieco żywności, lub jaką wiadomość ze świata; był on bowiem od świata odcięty. Poszukiwania kończyły się nieraz zgubieniem śladów, tak zwanej wówczas, „partji powstańczej“, która zmieniła nagle stanowisko i niepodobna było jej odszukać... A żołnierz-

powstaniec pędził tymczasem dni głodne. Nietylko głód wielokroć go obalał, lecz również, może jeszcze bardziej, przymusowa bezsenność... Oto jeden z żołnierzy oddziału Zygmunta Chmieleńskiego tak opowiada o śmiertelnem znużeniu, z powodu niemożności zaśnięcia, gdy oddział był ścigany, niby dziki zwierz w kniei.

„...Trudno doprawdy — mówi on — mieć wyobrażenie o podobnem znużeniu, kto takowego nie doświadczył sam w życiu. Kawalerzysta śpi zazwyczaj, kiwając się na koniu, który również, idąc, śpi. Nawet piechota zasypia w marszu, przebierając machinalnie i bezwiednie nogami... a jak się położy i poczuje coś pod głową, wnet oczy się zamykają i w jednej chwili zasypia... szczególniejsza obojętność ogarnia cały organizm człowieka, staje się nieczułym na wszystko, na śmierć nawet i za żadne skarby świata nie oddałby tej chwilki snu, gdyby nawet wiedział, że nieprzyjaciół nadejdzie i zamorduje go“...

Zmiany atmosferyczne pod naszym niezbyt łagodnem niebem dawały się uczuć powstańczemu żołnierzowi bardzo dotkliwie. Nieraz bywał źle odziany, z obuwiem rozpadającym się, bez pokarmu dni parę, znosił to wszakże z rezygnacją również wśród śniegów i wichrów północnych, jak i wśród letniej ulewy i upałów, odpoczywał w polu lub w lasach na gołej ziemi lub na mchach wilgotnych, nie wiedząc nawet, co to jest namiot. Niejeden z nich przez cały rok nie miał ani jednej nocy, którą spędziłby pod dachem, na pośłaniu.

Obozy w Koronie i Litwie były o różnych nastrojach. Podczas gdy w Królestwie, stosownie do charakteru miejscowej ludności, gwarno było i wesoło, klęska i zawód nie zniechęcały, na Litwie widziano powagę, ciszę, pobożny nastrój, ostrożność nadzwyczajną.

Wchodzący do szeregów powstańczych, ochotnik rzadko spotykał w Królestwie pewien rodzaj nowicjatu duchowego; nie przedstawiano mu ciężaru obowiązków, jakie na barki swe brał, nie dawano mu czasu do namysłu, czy udźwignie ciężar prywaty i niebezpieczeństw, czy życie i praca żołnierza powstańca nie przekracza jego sił, zapisywano go śpiesznie do szeregu... Na Litwie często bywało przeciwnie, jeżeli ochotnik z innej prowincji pochodził, badano go niekiedy długo i uważano za obowiązek raczej zniechęcać go, niż zachęcać do wstąpienia do powstania.

Mówiono mu: „...Czy wiesz, co cię czeka? Będziesz głodny codzień, będziesz spał na gołej ziemi, będziesz chodził częściej boso, niż w butach; jak cię zranią, to cię Moskwa złapie i powiesi..., jak nie dostoisz placu — dowódca rozstrzela... Powiedz, bracie, czyś ty pogodził się z Bogiem i ludźmi, bo ja cię nie chcę zwodzić, że ty idziesz na śmierć... Powiedz bez przechwałek, czy jesteś gotów umrzeć każdej chwili dla Ojczyzny?... Namysł się, jeszcze czas cofnąć się lub idź do Królestwa, tam łatwiejsza służba“...

Pomimo tych przestróg, ochotnik zaciągał się do szeregu — zostawał, walczył i ginął lub, ujęty,

szedł na wygnanie, gdzie czekała go również najczęściej śmierć, ale cięższa, bo poprzedzona konaniem całe lata, wśród tęsknoty i nędzy Sybiru...

Takiemi były losy żołnierza-powstańca. Bez względu na trudy, cierpienia, nędzę — żołd bowiem pospolicie był tylko na papierze, gdyż skarb świecił pustką — on się nie skarżył, walczył wielekroć jak bohater, ginął, a na jego mogile, ukrytej w głębi lasów, nie widziano nawet skleconego z drzewa krzyża... Moskałe na to nie pozwalali — i tradycja nie zdobi tych mogił... Ona zamilkła, podobnie jak mogiły uległy zapomnieniu.

Kraków, w styczniu 1919 r.

X. ANTONI MACKIEWICZ

(Stracony przez Moskali 28 grudnia 1863 r.)

Dwa lata, poprzedzające powstanie styczniowe, obudziły naród z przymusowego uśpienia, które go obozwładniało od roku 1831. Silne, niczem niepowstrzymane pragnienie wyjścia z duszącej atmosfery, w której kraj był pogrążony, wywołało pierwsze manifestacje w Warszawie, a wnet potem na całej przestrzeni ziem dawnej Rzeczypospolitej. Że pragnienie to było powszechnem, nie spowodowanem żadną sztuczną agitacją, że płynęło z głębi całego społeczeństwa, dowodem oczywistym samorzutne rozszerzenie się manifestacyj po całym niemal obszarze zaboru rosyjskiego i po części poza jego granicami. Nie mając innej możliwości wypowiedzenia swych pragnień ujawniono je pieśnią religijno-patriotyczną, obchodami wspomnień, pamiątek narodowych. To nagłe obudzenie się narodu polskiego na ogromnych przestrzeniach — od brzegów

Wisły daleko na północ i wschód, do dawnych wschodnich granic Rzeczypospolitej, do lasów żmudzkich i jezior inflanckich — dotykało najżywotniejszych interesów Rosji, wskazywało bowiem, że jej granice zbyt odległe od centrum Europy, że jak obyczajem, kulturą, tak i terytorjalnie należy ona raczej do państw azjatyckich, niż europejskich, wywołać musiało i wywołało wielką represję... Manifestacjom poważnym, zbiorowiskom z pieśnią religijną na ustach, z modlitwą korną o wyzwolenie Ojczyzny, rząd rosyjski kładł kres zbrojną dłonią...

Były wprawdzie, później nieco, dane pewne ustępstwa, pod wielu względami znaczne, lecz one tyczyły się tylko Królestwa kongresowego, nie obejmowały wschodnich dzielnic, gdy tymczasem ówczesne pokolenia nie traciły z oczu i z głębi swych uczuć całości naszej państwowej, przedrozbiorowej — a więc ustępstwa czynione zadowolnić nie zdołały... Domagano się zjednoczenia prowincyj tak zwanych zabranych z Królestwem kongresowem.

Doba demonstracyjna przedłużała się przeto, rozszerzając się wszczegółniej i przenikając coraz bardziej w głąb warstw społecznych. Pieśń „Boże coś Polskę“, idąc ku wschodowi, oparła się aż na wschodnich granicach Polski przedrozbiorowej, okazała światu, iż tam polskość nie wygasła, iż niewola długoletnia jej nie starła. Tam gdzie echo tej pieśni milkło, gdzie już nie dosięgła żałobna szata, w którą wówczas naród się przyodział, tam były rzeczywiste słupy graniczne Polski.

W ruchu manifestacyjnym, niby kruszec w ogniu, stopiły się różne żywioły, które wystąpiły na widowie. Nastrój podniosły oddziaływał dodatnio na społeczeństwo, dźwigał upadłych moralnie, oczyszczał atmosferę ze szkodliwych, zabójczych miazmatów... Żli stawali się lepszymi, pierwiastki dodatnie wstępowały na jeszcze wyższe szczeble poświęcenia, gdyż myśl podniosła oczyszcza, wzmacnia ludzi, ku wyżynom prowadzi... Tak wielkie napięcie uczuć patriotycznych nie mogło trwać długo, nie wywołując zbrojnego starcia. Moskwa tego starcia zbrojnego oczywiście pragnęła, z niem mogła prędzej, skuteczniej dać radę, niż z ową „rewolucją moralną“ — jak nazywała tę dobę manifestacyjną — czyn margrabiego Wielopolskiego, który jako naczelnik ówczesnego rządu rosyjskiego w kongresowej Polsce, zarządziwszy tak zwaną brankę, t. j. pobór przymusowy do wojska młodzieży, podejrzewanej o gorętszy patriotyzm — przyspieszył i wywołał styczniowe powstanie...

W wielkiej ciżbie ludzi, występujących na szerzej widowni dziejowej podczas owej pamiętnej epoki nierównej walki z potęgą Moskwy, zajmuje miejsce zaszczytne xiądz Antoni Mackiewicz. Człowiek ten niezwykły, swem poświęceniem, wytrwałością i zgonem męczeńskim, zapisał trwałemi głoskami swe imię w dziejach powstania na Żmudzi.

Kolebką jego był zaścianek szlachecki w parafji Ialskiej, blisko Cytowian, miasteczka w powiecie rosienskim, nazywanego po żmudzku Fitawienaj.

Urodził się on wśród ubogiej rodziny, w roku 1826, a bernardyni cytowińscy podobno byli jego pierwszymi nauczycielami. Zresztą nauka, wyniesiona z zaścianka, nie mogła być większą nad umiejętność czytania i pisania, ale dziecko zdolne szukało szerszej wiedzy, podczas gdy ojciec pragnął je oddać na praktykę do kowala. Kowalstwo okazało się za ciężkie dla chłopaka o niezbyt silnej budowie i nie dawało tej książkowej nauki, do której on wzdychał. Wkrótce więc, zamiast przy miechu kowalskim w kuźni, widzimy go w Wilnie, w klasztorze OO. karmelitów, który się mieścił przy kościele Wszystkich Św.. Miał wtedy lat dwanaście, przybył do miasta pieszo, z ubogim groszem, danym przez matkę troskliwą i ojca niezbyt chętnego wędrownikom za naukę.

W klasztorze wileńskim, usługując zakonnikom i wzamian za to otrzymując trochę pożywienia i szczyptę nauki, przebył prawie sześć lat. W osiemnastym roku życia, jako pracowity samouk, wciąż rwący się do obfitszych źródeł wiedzy, opuszcza Wilno i pieszo, a w części na tratwach, które z wybrzeży Prypeci i Dniepru górnego spławiały drzewo, dąży do Kijowa, w celu studjowania w tamtejszym uniwersytecie.

Brak patentu szkolnego i zupełny brak środków do życia, uniemożliwiły mu korzystanie z nauki uniwersyteckiej. Istnieje tradycja, iż był w Kijowie wolnym słuchaczem w uniwersytecie i że tam nędzę wielką cierpiał, co miało trwać dwa lata. Pierwsza

część podania, zważywszy ówczesne surowe przepisy, tamujące młodzieży korzystanie z nauki, zwłaszcza w wyższych zakładach, jest wątpliwą; co do drugiej możemy wierzyć. Serca pocziwe kolegów, a takich tam nigdy nie brakło, mogły nieco łagodzić twarde warunki materialne; niemniej wszakże niemożność ukończenia studjów, wraz z brakiem środków do życia, znagliły Mackiewicza, że po dwóch latach pobytu w Kijowie, wraca na Żmudź i wstępuje w roku 1846 do seminarjum duchownego w Worniach, któremu wkrótce potem zaczął przewodniczyć światły i pełen gorliwości religijnej x. Maciej Kazimierz Wołoncewski, późniejszy (od roku 1850) biskup żmudzki.

X. Wołoncewski, pochodzący z ludu żmudzkiego, wielki miłośnik tego ludu, piszący doń listy pasterskie po żmudzku, przemawiający w jego ojczystym języku, opracowywał nawet dzieła naukowe w tej mowie, niewyrobionej jeszcze, i w świecie nauki nieznaney, miał bezwątpienia wpływ niemały na młodego alumna Mackiewicza. To wielkie umiłowanie rzeszy wieśniaczej żmudzkiej i wogóle praca nad oświatą i umoralnieniem ludu żmudzkiego, któremi się odznaczał Mackiewicz, zostawszy kapłanem nie było zapewne bez pewnej podniety x. Wołoncewskiego, cieszącego się właśnie w tym kierunku wpływem na alumnów, podczas swego rektoratu w Worniach

Wyświęcony na kapłana, Mackiewicz, w roku 1850, rozpoczął swą pasterską działalność, jako zarządca filjalnego kościoła w Podbrzeziu, w parafii

krakinowskiej, i od pierwszej chwili objęcia tego stanowiska, wprawdzie skromnego, ale dla człowieka idei otwierającego obszerne pole do zbożnej pracy, rzucił się w wir ludowego apostołstwa. Niestrudzony to był pracownik umoralniający lud, krzewiący światło i miłość bliźniego. Głównem polem jego działalności nie były dwory szlacheckie, ale chata wieśniacza żmudzka i kazalnica. Do chat wieśniaczych szedł ze słowem pociechy, otuchy, zażegnawał swary, krzewił miłość bliźniego, wytepliał zawiść, uprzedzenia w stosunku do możniejszych, do dworów szlacheckich, niósł wielokroć i datek ze swych małych dochodów tam, gdzie gościła niedola, a wreszcie dużo pracował krzewiąc trzeźwość. Posiadając potęgę słowa, umiał wzruszać, trafiać do umysłu i serc swych słuchaczy, przykuwać uwagę do swej kazalnicy przemowami prostemi, ale płynącemi z serca. Słuchano go, wierzano mu, a przede wszystkim kochano. Ten stosunek przyczynił się znakomicie do poruszenia mas ludu żmudzkiego i postawienia go z bronią w ręce pod sztandarem powstania styczniowego...

Zbrojne wystąpienie ludu żmudzkiego w powstaniu styczniowem tworzy kartę wyjątkowo ciekawą. Złożyły się na to przyczyny różnorodne.

Praca x. Mackiewicza, sięjąca moralność, rozszerzająca trzeźwość z wielkim nakładem zabiegów, wskazująca, kto jest nieprzyjacielem, a wreszcie wnet po wybuchu gorliwie rozszerzająca wśród ludu sieć organizacji, przygotowującej kadry pow-

stańcze — dużo zdziałała, ale istniały inne także powody.

Żmudzini za dni polskiej Rzeczypospolitej nie znali stosunków pańszczyźnianych; chłop na Żmudzi był człowiekiem wolnym, płacącym jedynie czynsz dworski, nie był przywiązany do ziemi, jako poddany. Dopiero po rozbiórce trzecim,* Rosja, kraj ten zagarnawszy, wprowadziła pańszczyznę, poddaństwo, broniła zmieniać miejsce pobytu. Wolny, zamożny, nieskrępowany pańszczyzną, nieprzywiązany do gruntu, który uprawiał, chłop żmudzki niezmiernie różnił się od chłopów innych okolic dawnej Rzeczypospolitej — idea ojczyzny, potrzeba jej obrony, nie były mu obce. On kochał swą Żmudź a nienawidził Moskali, z którymi nie go nie łączyło. Pozatem lud to katolicki i gorąco wierzący, zbliżony więc do kultury zachodnio-europejskiej, poddający się zawsze wpływowi duchowieństwa, prowadzącego go zawsze do światła i umoralnienia.

Szczególnie od czasu objęcia przez x. Wołoncewskiego katedry biskupstwa żmudzkiego, wpływ ten w kierunku szerzenia światła uwydatnia się. Biskup ten pilnie czuwał nad wyłączeniem analfabetyzmu; corocznie z jego polecenia proboszczowie musieli przysyłać sprawozdanie, ilu jest w ich parafjach osób obojej płci, umiejących czytać. Proboszczowie, opieszali na polu niszczenia analfabetyzmu, otrzymywali od biskupa nagane.

X. Mackiewicz owej nagany nie potrzebował się obawiać, gdyż umoralniając swych parafjan

z kazalnicy, dużo czasu poświęcał na pracę w szkółce ludowej: w jego parafji wszyscy prawie czytać umieli.

Wszystkie tu przytoczone warunki bytu chłopu żmudzkiego tłumaczą dostatecznie to wyjątkowe zjawisko brania udziału ludu wiejskiego na Żmudzi w powstaniu styczniowym, podczas gdy w innych prowincjach, w okolicach z rdzennie polską ludnością, nieliczne jedynie wyjątki wstępowały do szeregów: ogół wieśniaków pozostał biernym, często wrogim.

Wybuch powstania 1863 r. nie zastał Mackiewicza nieprzygotowanym. Widocznie już uprzednio czynił pewne przygotowania do wystąpienia zbrojnego. Zresztą wpływ jego we własnej parafji, i po części w ościennych, był tak ustalony, że lud tamtejszy zawsze okazywał gotowość pójść za nim, dokąd by on wskazał... Tymczasem wskazał iść zbrojną ręką na Moskała.

Poszli... Przykład dużo zdziałać może. Za temi chłopskimi gromadami żmudzkimi, które pierwsze dały hasło do hoju powstańczego pod przewodnictwem x. Mackiewicza, poszły wkrótce inne partyzanckie, z chłopów żmudzkich wyłącznie złożone, oddziały. I temi również chłopci dowodzili: imiona Bitisa, Łukaszunasa upamiętniły się we wspomnieniach owej doby i na kartach dziejów styczniowego powstania. Łukaszunasa Traugutt, w jednej ze swych odezw do dowódców oddziałów powstańczych, stawia jako przykład zapobiegliwości, gdy

chodziło o ciepłą odzież dla partyzantów. Zdobył on na nieprzyjaciela pewną ilość kozuchów i zabezpieczył w ten sposób swych partyzantów na zimę.

Wszyscy ci drobni przewodcy partyj chłopskich na Żmudzi ukazują się już dość późno; ku końcowi lata w 1863 roku. Najwcześniejszem było wystąpienie zbrojne Mackiewicza i największego znaczenia. Człowiek ten, jak okazywał się niezrównanym kapłanem, krzewicielem trzeźwości i światła wśród ludu żmudzkiego, tak złożył dowody olbrzymiej energii, wytrwałości, uzdolnień wojskowych, można rzec śmiało, bohaterstwa, gdy stanął na czele powstańczego oddziału, przeważnie z chłopów złożonego.

Dnia 8 marca 1863 roku — a był to dzień niedzielny, lud licznie był zebrany w kościele, w Podbrzeziu — odczytał x. Mackiewicz z ambony manifest z dnia 22 stycznia, powołujący naród do powstania. Do słów manifestu dodał swą przemowę, która sprawiła, wedle słów ówczesnych świadków, takie wrażenie, iż cały kościół płakał. Potęgą jego słowa, pełna jak zawsze szczytnych myśli, wywołała entuzjazm niezwykły, tem większy, iż od kilku lat już zapatrywano się na x. Mackiewicza z głęboką wiarą, że słowa jego święte... Od dnia tego pierwszego jawnego wystąpienia na polu powstańczem, bo tajemnie już od kilku miesięcy pracował, Mackiewicz staje przed nami, jako postać partyzanta, górującego nad innymi, jako charakter niezłomny, jako wódz wytrwały, z niezmierną

zaciętością dziewięć miesięcy prowadzący walkę, nie bez słuszności drugim Witoldem nazywany.

Wytworzył on swój oddział w krakinowskiej puszczy wkrótce po tem wezwaniu do broni; a na jego hasło lud wiejski tłumnie się gromadził; obok wieśniaków, stawała młodzież różnych stanów. W ciągu dni niewiele liczył on blisko 500 ochotników, a mógłby mieć znacznie więcej, gdyby broń posiadał. Powtórzyło się toż samo zjawisko, jakie widziano w pierwszych dniach powstania na Podlasiu: zbiegali się tłumnie pod sztandar walki, ale dla braku broni rozchodzili się zniechęceni. Broń w oddziale Mackiewicza i nieliczna była, i do walki z regularnem wojskiem niestosowna; składała się ze strzelb myśliwskich i z kos. Z tą bronią jednak w licznych utarczkach niejednokrotnie szczęśliwie stawiał czoło nieprzyjacielowi. Mackiewicz słowem, przykładem umiał wdrażać w swych młodocianych żołnierzy ideję ofiarności, zrozumienie, iż sprawa, dla której poświęcają się, jest święta. Widziano go zawsze na stanowiskach najmniej bezpiecznych; z zimną krwią prowadził do ataku swe szczupłe szeregi. Pospolicie widziano go przed bitwą objeżdżającego szeregi na małym karym koniku, w czmarze i konfederatce, z szablą u boku i zachęcającego do zimnej krwi, spokoju przy wykonywaniu komendy, do wytrwałości w boju... Gdy potyczka wypadła szczęśliwie, dowódca, jako xiądz, wedle obrzędu kościelnego grzebał swych poległych... Obowiązków religijnych, obok obowiązków żołnie-

rza, nigdy w jego obozie nie zaniedbywano. Xiądz-naczelnik oddziału zawsze modlitwie przewodni-czył. Bez modlitwy dnia nie rozpoczynano. Ten bowiem żołnierz żmudzki Mackiewicza to, — jak mówi poeta — „lud odziany szarą wełną, pełen serca, pełen sromu i poważny i nabożny“...

Oto jak jeden bezimienny pamiętnikarz mówi nam o porannej modlitwie, której był świadkiem, w obozie Mackiewicza:

...„Słońce już zeszło, kiedy dał się słyszeć głos piszczałki i wnet za tem komenda: „do modlitwy!...“ Zachwycający to był widok tych kilkuset ludzi doświadczonych w boju, klęczących z odkrytymi głowami. Przed nami, przed krzyżem i obrazem Matki Boskiej na chorągwi obozowej klęczał x. Mackiewicz i intonował — „Kiedy ranne wstają zorze...“ Dokoła były puszcze, nasze fortece, nad nami był Bóg i przyszłość nasza“...

Pamiętnikarz miał słuszość, nazywając lasy i puszcze „naszemi fortecami“. W puszczach prze-ważnie organizowały się oddziały powstańcze i w lasach miały swą główną ostoję, co wywoływało gniew nieprzyjaciela, gdyż żołnierz moskiewski obawiał się wchodzić do lasów, spodziewając się na każdym kroku zasadzki i śmierci.

Zorganizowawszy swój oddział w puszczy kra-kinowskiej, podążył Mackiewicz ku lasom datnowskim gdzie połączył się z Bolesławem Dłuskim, znanym w powstaniu pod nazwą „Jabłonowskiego“, który, w owym czasie był mianowany naczelnikiem wo-

jewódzkim na Żmudzi i jako wojskowy mógł ćwiczyć młodego żołnierza w obrotach wojskowych. Tu stoczył Mackiewicz pierwszą bitwę pod Pujdakiem, dość pomyślną, pomimo przewagi sił moskiewskich. Lecz Dłuski-Jabłonowski, dla różnych okoliczności, wycofał się z kraju i Mackiewicza wprędce widzimy obok Sierakowskiego. Była to chwila najwyższego rozwoju powstania na Żmudzi. Wprędce potem nadeszły krwawe, a pełne niewykłej brawury walki pod Birżami, zranienie i ujęcie przez Moskali Sierakowskiego, już tak stanowcze klęski dla powstania żmudzkiego, iż zdawało się, że po tym wielkim wysiłku upadnie bez podźwignięcia się...

Nie upadło wszakże, gdyż na swych barkach dźwigał je, acz z wysiłkiem niezmiernym, x. Mackiewicz.

Siły jego były słabe: bardziej mocą ducha, wiarą w przyszłość zwycięską, niż orężem torował on sobie drogę do utrzymania się na fali zdarzeń. Utrzymywał się długo, pomimo iż na Żmudzi nieprzyjaciół znaczne swe siły gromadził, a utrzymywał się i przetrwał w najcięższych warunkach aż do grudnia, aż do ostatecznego wyczerpania wszystkich sił i środków, aż do chwili, gdy go samotnego, chroniącego się, jak zwierzę w puszczy przed oblawą, nieprzyjaciół ujął i w okrutny sposób stracił... Myśl złożenia broni, zaprzestanie walki, obcą mu była.

Od czerwca do grudnia 1863 roku, to jest w okresie gdy Mackiewicz sam wyłącznie działał, nie podlegając ani Jabłonowskiemu, ani Sierakowskiemu,

w okresie bardzo ciężkim dla powstania litewskiego, stoczył on około trzydziestu potyczek. Moskwa go wciąż zawzięcie ścigała, znacznymi siłami otaczała, używała wszelkich fortelów zdradzieckich, urządzała mnóstwo zasadzek, podstępów, on jednak zawsze szczęśliwie wymykał się, wielokroć ostrzeżony przez wieśniaków żmudzkich, nieraz nawet przez żydów: wszyscy go bowiem, jak Żmudź długa i szeroka, czcili i kochali.

Plony jego uprzedniej, kapłańskiej pracy były znaczne; lud nie tylko w jego parafji, ale i w ościen-nych przyzwyczaił się nań patrzeć jak na świętego; a lud ten twardego hartu, wielkiego ducha i niezwykłej pobożności, najmłodszy wśród narodów katolickich Europy, otaczanie opieką Mackiewicza i jego oddziału uważał za swój obowiązek wobec Boga, za dogmat ukochanej przez siebie wiary.

Płynęły więc tygodnie i miesiące na utarczkach na podstępach i wysiłkach wroga, by go pobić, ostatecznie rozprościć — wszystko na próżno. Wielokroć osaczony, niejednokrotnie pobity, skupia swe siły słabe, wymyka się szczęśliwie z zasadzek, zdawało się misternie przez nieprzyjaciela osnutych, i z żelazną wytrwałością dalej walkę prowadzi.

Jak wygląda jego obóz w dniach późnej jesieni opowiada nieznany z nazwiska pamiętnikarz, który, z Królestwa przedarłszy się na Żmudź, zaciągnąć się pragnął do tak zwanej „partji“ Mackiewicza.

Gdy organizacja cywilna już go osądziła godnym zaciągnięcia się pod sztandar tego niezwykłego wo-

dza, gdy zbadano, że ten nowy żołnierz gotów wytrwać na posterunku, gdzie spotka tylko prywatę, trudy i śmierć pewną, gdy w głębi puszczy zaprowadzono go do obozu, wówczas — mówi on — „usłyszeliśmy charakterystyczne krzyknięcie, co nam za hasło służyło. Wysunęły się z poza drzew postacie zapewne przedniej straży. Wszyscy byli w szarych sukmanach, krótkich po kolana, rzemiennym pasem spiętych, w rogatywkach, z dubeltówką w ręce, z toporkiem za pasem, każdy miał na sobie dość dużą sakwę z grubego płótna i torebkę myśliwską... Żadnych wozów, żadnych bagaży nie było widać, tylko niesiono kilka skrzynek na drągach, jak się później dowiedziałem, z ładunkami i prochem. Rozłożono ogniska, przystawiono kociołki z jadłem, widocznie gotowano się do odpoczynku, ale w takiej cichości, jakby to był obóz niemych“.

Postać Mackiewicza tak opisuje przytoczony tu pamiętnikarz: „...„X. Mackiewicz w sutannie z podwiniętymi połami, z pałaszem przy boku i rewolwerem za pasem, otoczony kilku młodymi oficerami, w czamarkach: widocznie był to cały jego sztab. Ani jednego konia w obozie, wszyscy byli pieszo; żadnych zapasów żywności, oprócz tego, co każdy miał z sobą w sakwie płóciennej“... „Twarz Mackiewicza — pisze dalej ów opowiadacz — ogorzała, rysy wydatne, długa, ciemna broda, brwi gęste, pomarszczone czoło, twarz jakaś ponura, całość pełna energii i siły, mimowoli wciąż przejawia“... Krótką miał ów przyszły żołnierz z nim rozmowę. Xiądz naczelnik zapytał:

- Umiesz strzelać i słuchać?
- Umiem.
- Umiesz modlić się?
- Matka mnie nauczyła...
- Potrafisz umrzeć?
- Nie próbowałem.
- Dobrze...

Te krótkie, ale charakterystyczne zarysy dają nam, bladą wprawdzie, lecz może prawie jedyną sylwetkę tego człowieka niepospolitej miary, tego wodza, co prowadził tę dziwną, uporczywą walkę z potężnym, we wszystko zaopatrzonym nieprzyjacielem i umiał do niej wprząc wieśniacze dłonie i wieśniacze żmudzkie serca...

W listopadzie 1863 roku, gdy stan Litwy i Żmudzi pod bezwzględną stopą krwawego Murawjewa był ostatecznie rozpaczliwy, zgnośćbiony uciskiem bezbrzeżnym, nadeszła z wydziału Litwy, z Wilna, nominacja X. Mackiewicza na naczelnika sił zbrojnych z Województwa kowieńskiego". Nominacja ta, wydana 3 listopada 1863 roku (N. 153), czyniła go zastępcą Bolesława Dłuskiego, który, opuściwszy kraj jeszcze w kwietniu, już się więcej nie pokazał, a zarazem „organizatorem sił zbrojnych" rzeczonego województwa. Był to czyn nader spóźniony. — Resztki powstań z całej Litwy i ze Żmudzi, wobec niemożności utrzymania się dłuższego, podczas srożącej się wówczas zimy, bądź z trudem przedarły się do Królestwa, bądź zupełnie rozproszyły się. X. Mackiewicz jedynym był już wtedy poważnym wodzem

wiekszego skupienia powstańców na Litwie. Lecz i to skupienie nie zdołało się dłużej utrzymać. W pobliżu Kiejdan, w lesie, nazywanym się „Powiatówka,” w pierwszych dniach grudnia Mackiewicz, dowodzący wówczas małym oddziałem kawalerji, został rozbity... Była to ostatnia jego bitwa...

Po potyczce w „Powiatówce” postanowił sam przeprawić się za Niemen, materiał bowiem do walki dalszej na razie wyczerpał się, kraj był zalany wojskiem moskiewskiem, a represje uniemożliwiały nie tylko walkę, lecz nawet samo istnienie ludzi, nie biorących udziału w powstaniu.

Zamiar chwilowego przejścia za Niemen, do Królestwa, czy też do Prus, miał, zdaje się, na celu skomunikowanie się z Rządem Narodowym, gdzie się skupiały wszelkie nici spraw i działań powstania. Tak przynajmniej twierdzą źródła rosyjskie, rzekomo opierające się na zeznaniach ujętego Mackiewicza.

Z dwoma towarzyszami, d'Artuzim i Ródowiczem, pieszo, mocno podupadły na zdrowiu, z sił fizycznych prawie zupełnie wyczerpani, z trudnością dowlókł się Mackiewicz do wybrzeży Niemna, gdzie miała nań oczekiwać łódka. Łódki tej nie zastano, oczekiwano więc na nią w jakiejś chacie przydrożnej. Wejście kilku żołnierzy do tej izby w celu ogrzania się i dopytywanie się jego towarzyszków, co są za jedni, czy czasem nie należą do „bandy” powstańczej Mackiewicza, zmusiły go, do wyjścia śpiesznego i schronienia się w przyległym lesie. —

Tak był osłabiony, iż iść długo nie mógł; położył się pod drzewem, okrył się jedliną i — jak sam powiedział w swych zeznaniach — „zdał się na wolę Bożą“...

Ujęci przez owych żołnierzy jego towarzysze i zaprowadzeni wnet do wojskowej komendy w pobliskim miasteczku Wilkach, zeznali, że trzecim ich towarzyszem, który nieznacznie wymknął się z przydrożnej chaty, był x. Mackiewicz... Na wieść tak pożądaną, zaraz wysłano podjazdy w różne strony dla wyszukania zbiega. Jeden z tych podjazdów, pod dowództwem młodego oficera, Oziarskija, bardzo gorliwego w tropieniu powstańców, wpadł na ślad Mackiewicza. Bystry wzrok grenadjera Nikowa, który jechał obok Oziarskija, dopomógł do odszukania. Nikow wskazał mu palcem coś szarego, leżącego na śniegu pod drzewem... Był to Mackiewicz.

Żołnierze rzucili się nań z furją, bijąc kolbami i rabując wszystko, co miał przy sobie... „Kto ty jesteś — wołał tryumfator Oziarskij — kto jesteś?“... „Nakoniec — jak później Oziarskij w swej relacji opowiada — ta blada, chuda, z dużą brodą postać, głosem dość spokojnym, jak na takie położenie, odrzekła: — „Nie szarpicie mnie, panowie, jestem xiądz Mackiewicz...“ Działo się to w nocy z dnia 17 na 18 grudnia.

Tak się przedstawia ta tragiczna chwila w relacjach rosyjskich. Relacje te mówią, że ujętemu zabrano: rewolwer, zegarek, tabakierkę, duży plik

papierów i pieniądze, w ilości około 360 rubli; rozdano je żołnierzom, którzy go pojмали, w nagrodę... Ozierskij, który zapewne był wielkim liberalistą przed polskiem powstaniem, jak ówcześni prawie wszyscy działacze rosyjscy w Polsce, stał się bohaterem dnia; opowiadał i opisywał w dziennikach swą wyprawę i parogodzinne poszukiwania; zachwycił się cały rosyjski świat urzędowy w Wilnie i Kownie jego bohaterstwem... Wszystko to świadczy, jak wielką wagę Rosjanie przywiązywali do ujęcia Mackiewicza.

Uwiadomiony o tym wypadku Murawjew kazał sądzić jeńca sądem wojennym i stracić w ciągu 48 godzin.

Stało się nieco inaczej. Procedura badań, sądu i confirmacji przeciągnęła się do dziewięciu dni; czas ten zużyto na badania i przekonywanie więźnia, iż powinien wskazać członków organizacji w Wilnie i w Warszawie, co może pomyślnie wpłynąć na jego los. Zbyteczną rzeczą dodawać, że ten wódz ludu żmudzkiego zachowywał się z całą powagą i godnością. Sprawdziły się raz jeszcze słowa poety: „Ale Litwin nie wygada, bo w tej duszy hart nie lada... zamiar padnie niby w studnię, lecz czas krwi tej nie wyziębi“...

Badano go w Kownie, dokąd sprowadzono i jego ojca, zapewne w zamiarze, aby wpłynął na zeznania syna. Mackiewicz upadł ojcu do nóg, ale gdy ten starzec, przerażony niezwykłą sytuacją, zaczął wymawiać synowi jego przewodnictwo ludowi żmudzkiemu w powstaniu, powstał, przeżegnał się

i rzekł: „Ojcze, Królestwo moje nie jest z tego świata. Nigdy żałować tego nie będę, że stanąłem w obronie mego ludu. Tu będę cierpiał, ale za to nagroda czeka mnie w życiu przyszłym“..

Z owego lasu pod Wilkami, gdzie był pojmany, prowadzono go pieszo do Kowna, „przywiązanego na krzyż do kija, (jak twierdzi pamiętnikarz Medeksza), tak, iż każde stąpienie sprawiało mu niewymowną męczarnię“...

Wobec komisji śledczej i sędziów oświadczył, iż nic go nie obchodzi, kto rządził i nigdy o to nie pytał; a co do swego wystąpienia w powstaniu twierdzi, iż dążeniem jego było „powrócić narodowi litewskiemu prawa człowieka“... „Pragnienie szczęścia dla ludzi dało mi możność — mówił — powołać do powstania lud, by obudzić w nim z jednej strony świadomość, jak również dla rozstrzygnięcia pytania, z kim się chce połączyć, z Rosją, czy z Polską“...

Dnia 28 grudnia 1863 roku. o godzinie 11 rano, stracono Mackiewiczą na szubienicy. Stracenie Moskale otoczyli pewną uroczystością. Straszne to widowisko odbyło się w Kownie, na placu przy gościńcu, prowadzącym do Wilkomierza; spędzeni gwałtem mieszkańcy Kowna i bardzo licznie lud wiejski z okolic, zniewoleni byli do przypatrywania się temu barbarzyńskiemu traceniu bohaterskiego wodza ludu żmudzkiego. Gdy go wprowadzono na rusztowanie szubienicy i zapytano, czy wyda powstańczą organizację, za co obiecywano nietylko

darowanie życia, lecz i łaski cara, odpowiedział z całym spokojem: „Skończyłem swoje, a wy teraz swoje kończcie“... To były jego ostatnie słowa. Po kilku minutach duch ten szlachetny uleciał z ziemi niedoli... Mogiła x. Mackiewicza została zdeptana kopytami koni i stopami moskiewskich siepaczy. Ich to zwykły obyczaj, praktykowany wówczas i później; nie wstydzono się okrucieństw i zabójstw, ale obawiano się potęgi wspomnień, męczeństwa i poświęceń...

Lud na Żmudzi, acz tłumnie w Kownie patrzył na zgon x. Mackiewicza, niemniej jeszcze w roku następnym, na wiosnę 1864, głosił, że on nie umarł, żyje i nad Niewiążą ukazał się z licznym, dobrze uzbrojonym oddziałem... Postać ta nie mogła szybko zagasnąć w pamięci rzesz wieśniaczych, które go czciły i należycie ocenić umiały. Imiona, pamięć tych cieniów ofiarnych, nie powinny znikać w dziedzinie naszych myśli, lecz nieustannie wołać z głębi grobów o czujność, wierność i ofiarność dla Ojczyzny.

Pokolenia się zmieniają, ale obowiązki wobec Ojczyzny są zawsze niezmiennie, jak niebezpieczeństwa, które nam wciąż grożą od wschodu i zachodu — a przeto czuwajmy i stójmy wiernie na straży granic ziemi naszej i dziedzin ducha naszego.

Kraków, październik 1919 r.

STRACENICY

(Krwawa karta z powstania styczniowego na Rusi.)

„Padli swych idealnych dążeń ofiarą“...

„Jeśli polegnę, niechaj mi w nagrodę,

Za was nie kładą pamięci kamienia.

Ziemią niech piersi przysypią mi młode,

Mój kurhan niech mi trawa ozienienia,

A gdy majowy deszcz ten kurhan zrosi

Niech się ptak nad nim, jak mój duch, unosi“...

M. Romanowski.

Dziwnem losu zrządzeniem pewne pamiętne daty z epoki powstania styczniowego stały się dniami pamiętnymi w obecnym okresie wyzwalań się Ojczyzny naszej.

Dzień 5 sierpnia 1914 roku, gdy w godzinach przedwieczornych szła garstka zbrojna młodzieży w Krakowie z ulicy Garncarskiej na Błonia, ku tak zwanym „Oleandrom“, z bojową pieśnią „Hej, kto Polak na bagnety, żyj swobodo polska, żyj!“... i ta

garstka miała rozpocząć nazajutrz bój z Moskwą, przekraczając ówczesną granicę Królestwa kongresowego — była to pięćdziesiąta rocznica owego pamiętnego dnia, kiedy Moskwa, na stokach cytadeli warszawskiej, święciła uroczyście, pod szubienicą pięciu traconych, tryumf swój nad powstaniem... garstka młodzieży w „Oleandrach“ miała ten bój wznowić... Patrząc na nią, wielka wiara w oswobodzenie narodu mogła rzec z poetą — „rozwi-
dnia się piorunami ciemna noc przed nami“... Nie-
wielu jednak tak rzekło. Widziano w nich przede-
wszystkiem nową, krwawą ofiarę, składaną na ołtarzu Ojczyzny... a nikt nie przeczuwał zapewne, iż to właśnie najmłodsze pokolenie jest mocarną dłońią, która ma podnieść kamień grobowy Polski, iż to „zawiązek“ tej wielkiej armji polskiej, co po sześciu niespełna latach, od chwili powstania tego „zawiązku“, pójdzie w krwawym trudzie wyorywać szablą i bagnetem miedzę granic dawnej, niepodległej Rzeczypospolitej.

Szczytem tej pracy bojowej, umocnieniem owych węglów wschodnich Polski było zdobycie Kijowa dnia 8 maja 1920 roku.

I tu^o znów widzimy zbieg dziwny dat. . Ósmy maja 1920 r. to pięćdziesiąta siódma rocznica wybuchu powstania styczniowego na Rusi... Litwa już w trzy tygodnie po wybuchu w Kongresówce, w okolicach Wilna, pod Ludwikiem Narbuttem, rozpoczęła powstanie; a w ziemiach ruskich, to jest w Kijowszczyźnie i na Wołyniu dopiero dnia 8 maja chwycono za oręż.

Ósmego maja 1863 roku trzy grupy powstańcze, polskie, złożone prawie wyłącznie z młodzieży akademickiej, wyszły z Kijowa, w kierunku lasów Radomyślskich, by połączyć się z innymi oddziałami zbrojnymi, co powstały lub miały powstać w powiatach Kijowszczyzny. Jedna grupa była piesza, która wkrótce stoczyła potyczkę pod Borodzianką — i tam zakończyła swe istnienie, zmasakrowana przez Moskali, którzy, prawdopodobnie uwiadomieni o kierunku, w jakim mieli dążyć powstańcy, z przeważną siłą na nich czekali i z łatwością znieśli. Drugą grupę tworzył niewielki, z kilkudziesięciu koni złożony hufczyk jazdy, pod dowództwem Romualda Olszańskiego, nauczyciela konnej jazdy w uniwersytecie kijowskim *). Los tego hufczyka nie był pomyślniejszym od pierwszego oddziału. Poza nimi widziano nie oddział, co miał bronią walczyć, ale raczej szczupły zastęp młodzieży, który wyruszał w celu głoszenia ludowi rusińskiemu tak zwanych „złotych hramot“, zapewniających mu wolność, własność gruntów, będących w jego posiadaniu, i swobody polityczne, do których w rzeczywistości on nie wzdychał, bo ich nie rozumiał, a wreszcie wzywał do walki ze wspólnym wrogiem — z Moskalami.

Wytworzenie takiego hufca propagandy wolności, zapewnionych w „złotych hramotach“, powstało z inicjatywy młodziutkiego akademika, An-

*) Romuald Olszański rozstrzelany został w Kijowie, w styczniu 1864 r.

toniego Jurjewicza, pełnego zapału i bezbrzeżnej ofiarności. On powołał do życia szczupły ten zastęp, pod hasłem „wiary i ofiary“, on go poprowadził.

Zadanie było szczytne, ale najeżone tysiącem niebezpieczeństw. Garstka ta, składająca się z 21 młodzieńców, z których żaden nie liczył lat dwudziestu pięciu, najmłodszy zaś zaledwie piętnaście (Przedrzemirski), chociaż zbrojna, nie miała na celu walki z wrogiem, raczej pragnęła omijać starcia z wojskiem, lecz głównem jej zadaniem było odwołanie się do rozumu i uczuć ludu rusińskiego, przekonanie go o konieczności wzięcia udziału w walce z Moskwą, która to walka podjęta dla jego dobra, dla jego wolności, dla praw jego języka w szkole, gminie, sądzie... Wjierzono, że ich słowo, ich poświęcenie wywołają współudział tego ludu w walce ze wspólnym wrogiem. Złudzenie to wielkie, podobnie jak wiara w pomoc liberalistów rosyjskich, co przez wielu były podzielane.

Nie chodziło tu oczywiście o budowę jakiegoś fantastycznego państwa rusińskiego — do którego, podobnie wówczas, jak i dziś, niema najmniejszego materiału, ale o wywalczenie niepodległości Polski, w której lud rusiński miałby zapewnione swe prawa kulturalne, jako część dawnej Rzeczypospolitej, na podstawie naszych prastarych praw — jako wolni z wolnymi i równi z równymi.

Przedsięwzięcie to niesłychanej odwagi musiało, bądź co bądź, spotkać się z zagładą z ręki wroga — o tem ci młodzieńcy wiedzieli; wiedzieli;

że idą na śmierć pewną, na niezawodne stracenie ale nikt z nich nie przypuszczał, iż ta zagłada i to w sposób wyrafinowanie okrutny, spadnie na nich z ręki tego ludu, któremu z nieźrównanem poświęceniem nieśli wolność na dziś i możliwość dalszego rozwoju w przyszłości.

W szlachetnej ich myśli ani na chwilę nie mogła zaświtać groźba zagłady z ręki tych, którym w ofierze nieśli młode swe życie... Wierzano w lepsze instynkty rzeszy ludowej, ludzono się, że zdolają ją do współpracy w rozpoczynającej się walce powołać... Niebezpieczeństwa widziano jedynie ze strony Moskali, którzy nie potrzebowali nawet mieć jakiejś większej siły, by ten szczupły zastęp apostołów wolności zniszczyć, w najlepszym razie, ująć w jasyr sybirskiej niewoli... Wiedział ten ofiarny, szczupły zastęp młodzieży, że idzie na śmierć pewną, lecz są szczytne chwile w życiu młodzieży, iż gdy rozwiązują się wielkie zadania, stanowiące o przyszłości narodu, śmierć nieunikniona nie przeraża. I tym razem ten zastęp ofiarny posiadał świadomość, że idzie na pewną zagładę — oczywiście z ręki wroga, na stepie Ukrainy — dlatego też nazwał siebie żartobliwie „Straceńcami“... Zaiste, byli to „Straceńcy“.

Około godziny 10 wieczorem, w piątek, dnia 8 maja 1863 roku (nowego stylu) garstka tych „Straceńców“ wyruszyła z ulicy Kowali (Kuznieczna) w Kijowie, ku rogatce Wasylkowskiej, zmierzając do okolic południowych Ukrainy. Jechali

na dwóch wozach, po dziewięciu na każdym wozie, tylną ich straż stanowiło trzech konnych.

Noc ówczesnego pamiętnego dnia była ciemna niezwykle, słotna, ponura. W duszach tych młodzieńców, wstępujących na stos ofiarny, świeciły wszakże blaski nadziei, wiara w przyszłość, uczucie iż się spełnia obowiązek, przekazany przez ojców i dziadów, obowiązek każdego pokolenia walczenia o niepodległość Ojczyzny... Pierwsze godziny podróży nocnej przeszły spokojnie: przejeżdżali obok posterunków, pikiet nieprzyjacielskich, stróżujących dookoła miasta, lecz nikt ich nie zatrzymywał. Przed świtem, na leśnej polanie, gdzie urządzono wypoczynek dla koni, obrano naczelnikiem wyprawy Antoniego Jurjewicza, który był inicjatorem wyprawy i bez wyborów uznawany jako duchowy jej przewodca.

Nad rzeką Stuhną, tworzącą od Andruszowskiego traktatu granicę przedrozbiorowej Rzeczypospolitej, we wsi Motowidłówce, odczytano ludności wiejskiej „złotą hramotę“... — Było to pierwsze zetknięcie się z masą wieśniaczą; pierwsze zetknięcie się młodzieży, idealizującej lud wiejski, z rzeczywistością... Odczytanie odbyło się w godzinach południowych, dzień był słoneczny, ciepły, po nocy zimnej, słotnej i w głębi uczuć tych młodocianych zwiastunów wolności było radośnie, pogodnie. Odczytywanie „hramoty złotej“ odbyło się przed domem zarządu gminnego, nad głową odczytującego powiewała chorągiew z wi-

zerunkiem Michała Archaniola, herbem dawnego kijowskiego województwa, które miały być odtąd herbem wszystkich ziem ruskich.

Wieśniacy pośpieszyli tłumnie na plac, gdzie odbywała się ta uroczystość, dla nich zupełnie niezrozumiała. Zachowywano się wogóle biernie, niektóre grupy patrzyły na ów młodzieńczy zastęp nawet przyjaźnie. Chociaż propaganda rządowa przeciw możliwym działaniom powstańczym na Rusi, prowadzona energicznie przez policję i popów, dotarła była do Motowidlówki, nie znalazła tam widocznie gruntu podatnego. Chłopi tamtejsi przysłuchiwali się z zajęciem przemówieniu młodzieży, wzięli „złotą hramotę“, a nawet w pewnych grupach tłumy widziano bratanie się wieśniaków ze zwiastunami wolności... Jedyna to była chwila pogodna, promienna nadzieją, jaką spotkali nasi Straceńcy w tej wyprawie... Odtąd towarzyszyły im jedynie trudności, zawody i zbliżała się godzina straszliwej katastrofy, której groźna rzeczywistość prześcignęła wszystkie najbardziej ponure przypuszczenia.

„Złota hramota“, którą rozdawali nasi Straceńcy była zasadniczą ustawą rządu powstańczego, zapewniającą ludowi rusińskiemu wszystkie niezbędne prawa do jego kulturalnego rozwoju*).

*) Bardzo mało przechowało się egzemplarzy hramot. Rząd rosyjski pilnie je niszczył. W Krakowie, w jednym z biur Biblioteki Jagiellońskiej przechowuje się okaz tego ciekawego dokumentu historycznego.

Ten akt państwowy, drukowany czcionkami o barwie złocistej — stąd jego nazwa „złota hramota“ — spisany był w języku rusińskim, kirylicą, to jest alfabetem, używanym w księgach liturgji wschodniej, a wydany i podpisany przez „Rząd Tymczasowy“ powstania styczniowego *). Pieczęć wyobrażała pod jedną koroną „Orła, Pogoń i Archaniola“.

Hramota zawierała dwanaście paragrafów. We wstępie czytamy następujące oświadczenie: „Powstawszy wraz z Polską i z Litwą przeciwko panowaniu moskiewskiemu, aby zyskać wieczną wolność i szczęsną dolę dla całej naszej Ojczyzny, oświadczamy przed Bogiem, całym światem i narodem, że innego szczęścia nie pragniemy dla drogiej naszej Ojczyzny i nie szukamy go w niczem więcej, jak tylko w wolności, swobodzie, równości i szczęściu wszystkich mieszkańców, jakiegokolwiek są wiary i stanu“... Po tym wstępie, sześć pierwszych punktów zawierają zapewnienia, iż wieśniacy są nietylko wolni i równouprawnieni z innemi stanami, ale mają prawo wybierać sędziów „z pomiędzy siebie“ i deputowanych do wyższych urzędów; podatki zaś i żołnierza „będą dawać tylko za postanowieniem sejmu państwa, złożonego z deputowanych całej Ojczyz-

*) Zmiana tytułu Rządu Tymczasowego, używanego, od chwili wybuchu powstania, nastąpiła dopiero dnia 13 maja 1863 roku, a więc na wspominaanej tu „hramocie“, jako na akcie wcześniejszym, widzimy tytuł „Rząd Tymczasowy“.

ny"... Trzy dalsze paragrafy obejmują postanowienia co do ziemi ornej, trzymanej przez włościjan lub szlachtę czynszową, na podstawie opłaty pańszczyzny lub czynszem. Ziemie te stają się własnością tych, co je uprawiają, a dziedzicom za te ich ziemie zapłaci skarb narodowy". Bezrolnym, budnikom, chałupnikom i służbie dworskiej obiecywano również pewne działki roli, które dla nich obmyśli „w swoim czasie” sejm państwa. Oprócz tego, tym, co chwycą za oręż przeciw panowaniu moskiewskiemu, wydzielano conajmniej sześć morgów ziemi i sadybę w ziemiach koronnych, albo dożywotnią płacę ze skarbu narodowego. Xiężom prawosławnym (popom), oprócz uposażenia w ziemiach cerkiewnych, obiecywano pensję, aby nie potrzebowali zapłaty od ludu za duchowne posługi. Ostatni punkt hramoty stwierdzał najzupełniejszą równość, tolerancję religijną i „używanie swego języka w szkołach, sądach i innych ziemskich urzędach”.

Uroczyste zakończenie „złotej hramoty”, w którym Rząd Tymczasowy Narodowy zaprzysięgał wierne dochowanie przyrzeczeń, w tym dokumencie zawartych, tak brzmiało:

„Co wszystko, wyżej opisanę, ogłaszając wiejskiemu ludowi Podola, Wołynia i Ukrainy, zachowanie i obronę praw, tą hramotą nadanych, zaprzysięgamy wobec narodu, całego świata i Boga Wszechmogącego, Bożej opiece poruczając dole ludu, któremu wiecznego życzymy dobra, dajemy

ię oto hramotę do wołosnego (gminnego) urzędu na każdą wołość (gminę).

*Tymczasowy Rząd Narodowy *)*

W pierwszym dniu po wybuchu powstania, i w tej okolicy, przez którą przechodzili nasi Straceńcy, i w innych na Rusi, wojsko zachowywało się biernie, wysuwając na czoło wypadków tłumy chłopów, stosownie już usposobionych dzięki propagandzie miejscowej policji i popów. Chłopskie te rzesze, uzbrojone przez rząd w kośy, drągi, siekiery, tworzyły warty na gościńcach, u wejścia do wiosek, rozkopywały drogi, zrywały mosty; słowem, uniemożliwiały wszelką komunikację. Garstka młodzieńczych zwiastunów wolności spotykała więc na każdym niemal kroku przeszkody w posuwaniu się swem. Dążyła ona ku stepom, gdzie, w okolicach Białej Cerkwi, miała się spotkać z oddziałem powstańców, który tam się grupował pod Julianem Święcickim, ale z nimi połączyć się nie zdołała, gdyż oddział ten został przez Moskali rozproszony, przewódca ujęty **). Takież los spot-

*) Złotej hramoty autorami byli ówcześni członkowie Wydziału Rusi: Izydor Kopernicki, profesor uniwersytetu kijowskiego, później Jagiellońskiego, Alexander Jabłonowski — znany później historyk — i Edmund Rożycki, generał w powstaniu styczniowym, a półkownik z wojny 1830 | 31 roku.

**) Julian Święcicki, po latach katorgi, Sybirze, przybył do Galicji, wstąpił do zakonu OO Jezuitów i jako kapłan-pedagog pracował w kolegium Jezuitów długie lata, w Starej Wei (w Sanockiem) i tam umarł dnia 8 października 1912 roku; głęboko pobożny, cierpliwy, pracowity.

kał inną partję powstańczą, formującą się w powiecie Skwirskim, pod Piotrem Choynowskim, z którym nasi Straceńcy mogliby się byli połączyć*). To zmieniło ich plany; postanowili przedrzeć się w Radomyślskie. Zmiana kierunku pochodu zmieniła plany ich marzeń: ku południowi spodziewali się spotkać lud o fantazji bujniejszej, z jakąś większą świadomością narodową, który, wedle ich mniemań, pochopniejszym był do powstania; zachował bowiem jakieś aspiracje wolności; gdy sądzili, że w Radomyślkiem, rozpoczynającem Polesie kijowszczyzny, są umysły bardziej ociążałe, bardziej ciemne. W rzeczywistości i w jednym i w drugim kierunku nic innego, nad wielką ciemnotę tego ludu i zupełny brak świadomości narodowej, spotkać nie mogli.. i dziś się nie spotyka.

To, co mu niesli w darze: własność ziemi, prawa polityczne, wreszcie swe młode życie, swą mękę przedzgonną, nie było i nie mogło być przez ciemną masę ludową ocenionem.

Po promiennym poranku w Motowidlówce, gdzie dość przychylnie ich witano i na pożegnanie z nimi bratano się, już w przejeździe przez Chwastówek i miasteczko Chwastów (niesłusznie

*) Piotr Choynowski, oficer wyższego wykształcenia, studiował naprzód w uniwersytecie kijowskim, potem w akademji generalnego sztabu, w Petersburgu; na wieść o powstaniu przybył do kraju i w pierwszym dniu działalności swej, otoczony przez Moskali, ujęty, został na początku czerwca 1863 roku rozstrzelany w Żytomierzu.

nazywane Fastów) spotkali obojętność, a nawet pomruk niechęci. W pierwszej z tych miejscowości odczytali „hramotę“, którą tłum nader liczny wysłuchał spokojnie, ze zdumieniem, iż taka garstka porywa się na przewrót jakiś wielki, lecz przez nich niezrozumiały. W miasteczku nikt na nich ręki nie podniósł, gdyż miejscowy „stanowy przystaw“ (naczelnik policji) zabarykadował się w swem mieszkaniu, wraz z policjantami, trzymając się taktyki wyczekiwania. Tymczasem noc zapadła; druga noc podróży. Jechali w kierunku sobie nieznanym, bez przewodnika i bez mapy tej okolicy.

Noc, podobnie jak uprzednia, ciemna była, co się przyczyniło do wpadnięcia z wozem w wielką fosę, którą świeżo, z rozkazu rządu, przekopano drogę. Zasypali wprawdzie nasi Straceńcy ów rów, by drugi wóz mógł przejechać, ale pierwszy zupełnie się połamał. Znużenie oddziału było wielkie; powiększyły je zasypywanie fosy i bezsenność drugiej nocy. Właściwie noc bezsenna nie była drugą, ani trzecią; było ich więcej; bo ta młodzież ofiarna, pełna zapału, cały szereg poprzednich dni przed wyruszeniem z miasta przygotowywała się do tej wyprawy, nikim się nie posługując. Na jej barki niejednen trud fizyczny spadał, do którego wcale nie była przygotowana, a przytem odbyła mil kilkanaście prawie bez wypoczynku. Nic dziwnego, że drugi poranek podróży zastał ją śmiertelnie znużoną. Drugi ten pora-

nek — niedziela, 10 maja — spotkał tę znużoną garstkę zwiastunów wolności we wsi Sołowiówce (leżącej już w powiecie Radomyślskim). Wieś roiała się od tłumów wieśniaków, zmobilizowanych przez policję w celu zatrzymania lub łapania powstańców i wogóle wszystkich, którzyby się im podejrzanymi wydali.

Garstka wchodzących do wsi powstańców, którzy przeważnie szli pieszo, od czasu stracenia wozu w lesie na przekopanym gościńcu, otoczoną została w jednej chwili falą chłopstwa o groźnej postawie. Uderzono w dzwony cerkiewne na alarm. Pozycja stała się groźną. Lud ogromną masą zalał garstkę młodzieńców, oświadczając, że ich zatrzyma i odda w ręce wojska moskiewskiego, które ma wkrótce nadejść... Jurjewicz chciał przez jednego z towarzyszy odesłać sztandar i pozostałe egzemplarze hramot, ale już było zapóźno: komunikacja była przecięta, a zresztą nikt nie chciał opuszczać kolegów w chwili tak stanowczej... Uszykowali się przeto pod płotem, oczekując z bronią u nogi przybycia Moskali, aby zginąć w oczach ludu; o obronie wobec wojska nie mogło być mowy. Znużenie tak wielkie nimi owładnęło, że niektórzy, stojąc w szeregu, zasypiali. Ci, co czuli się silniejszymi, starali się wytłumaczyć ludowi, iż powstałi dla ich dobra; że idą walczyć za swoją i zarazem za ich wolność...

Słowa, bodaj najwymowniejsze, wrażenia nie wywoływały; wywołałby czyn. Jeden lub parę wy-

strzałów rozprószyłby ten tłum chłopstwa, umożliwiłby wyjście ze wsi. Ale o oporze zbrojnym nie było mowy. Nietylko tam, lecz wogóle na Rusi, wśród Polaków powstańców przyjęta była zasada: „zginąć, a nie przelać ani jednej kropli krwi wieśniaczej”... Zasada ta, święcie wykonywana, stawiała się wielokroć przyczyną zgonu lub niewoli ludzi uzbrojonych, otoczonych przez tłum bezbronny, a tchórzliwy, który na odgłos paru strzałów zawsze gotów był rozbiec się.

Jeśli gdzieindziej zasadę tę podniesiono do godności dogmatu, wśród naszych Straceńców dogmat najuroczystiej był strzeżony.

Wieśniaczy tłum wydzielił z pośród siebie kilku starców, którzy oświadczyli naszym młodzieńcom, by im oddali broń, a zostaną jeńcami ludu, który ich wypuścić nie może, bowiem naraziłby się na zemstę Moskali, co są w pobliżu i zaraz nadejść mają.

Z całą ufnością broń oddali chłopom i stali się ich więźniami. Młodocianych, więźniów zamknięto w jakimś budynku, broń zaś pozostała zewnątrz. Po chwili wśród tłumu, co otaczał chatę, w której byli zamknięci, dał się słyszeć strzał. Zdziwieni wybiegli młodociani jeńcy z chaty, gdzie ich trzymano, lecz w tejże chwili tłum chłopstwa rzucił się na nich z siekierami, drągami, mordując tę bohaterską młodzież, tratując i pastwiąc się nad nią. Tak śmierć ponieśli... Umierali bez oporu, bez obrony, podobnie, jak pierwsi męczennicy chrześcijańscy, którzy, dla da-

nia świadectwa prawdzie, woleli z całem poddaniem się śmierć ponieść, niż podnieść dłoń przeciwko swym prześladowcom.

Zabitych, rannych zawleczono do karczmy i tam wrzucono wszystkich do piwnicy, sami zaś mordercy w izbie karczemnej, nad tą otchłanią piekielnej niedoli, ucztowali, śmiejąc się i żartując z pomordowanych. Chłirci krwi, nienasyceni mordów, wpadali w nocy do piwnicy dla dalszego pastwienia się.

Okrucieństwa te przedłużałyby się, gdyby nie nadeszło wojsko rosyjskie, pod dowództwem pułkownika Isajewa, który położył kres barbarzyńskiemu znęcaniu się... Zamordowanych pochować kazał, a tych, co dawali znaki życia — acz wszyscy byli nieprzytomni — zabrał do Żytomierza do więzienia.

Zamordowani byli na miejscu: Biesiadowski Józef, Bobowski Franciszek, Izbiński, Peretiatkowicz Adolf, Kostko Jan, Krypski, Przedpełski Gotfryd, dwaj bracia Przedrzemirscy (Walery, i młodszy 15-letni). Wasilewski Alexy i Wołoncewicz Lucjan, a po kilku dniach zmarł, w więziennym szpitalu żytomierskim Dorożyński Józef... Reszta, leczeni w więzieniach, i niezupełnie wyleczeni, skazani zostali w Kijowie do katorg syberyjskich, a Jurjewicz Antoni na śmierć. Z tej liczby wyleczonych Jurjewicz umknął stracenia, gdyż z twierdzy kijowskiej uciekł przez podkop wykopany z niezwykłym poświęceniem i ciężką pracą przez kolegów wię-

ziennych. W drodze na Sybir zbiegł szczęśliwie Szaramowicz Władysław. Doszli zaś do katorg sybirskich: Kościuszko Antoni, Kurzański Wacław, Peszyński Bolesław, Wasilewski Wincenty, Wyhowski Stefan, Strzelczenko Alexy, Strzemieczny i Zieliński... *)

Dziś żaden już z nich nie żyje... Tradycja zamiera. Mogiła jedynie wysoko usypana pod Sołowiówką, nad wspólnym grobem pomordowanych, długo jeszcze mówić będzie, iż w każdej chwili dziejowej broniliśmy niepodległości tych ziem nad-dnieprzańskich, iż skrapialiśmy owe stopy nietylko potem pracy rolniczej, wysiłkiem wielowiekowym naszej kultury, lecz i krwią najprzedniejszych naszych synów. Stwierdzaliśmy w sposób niezaprzeczony, że nie byliśmy tam i nie jesteśmy przybyszami, ale dziećmi tej ziemi, którą trudem naszym podnosiliśmy z nizin barbarzyństwa, broniliśmy od obcej przemocy nietylko za dni niepodległości, a niemniej w epoce przeszło stuletniej naszej niewoli; nie szczędziliśmy krwi i mienia, aby te ziemie „u krajów“, to jest u kończyn państwa polskiego leżące (dlatego nazywane Ukrainą), zachować od utonięcia w morzu rosyjskiem.

*) Jurjewicz Antoni (ur. pod Humanem, we wsi Syczówce, około r. 1841), po ucieczce z twierdzy kijowskiej w roku 1864, udał się do Belgii; umarł, z odnawiających się wciąż ran, w Paryżu, w marcu 1868, r. w szpitalu; pochowany we wspólnym grobie na cmentarzu La Chapelle. Podobno w roku 1875 przeniesiono jego szczątki na cmentarz Père la Chaise.

„Sprawiedliwość dziejowa nie jest usunięta z życia narodów“, wyrzekł jeden ze znakomitszych obecnie europejskich mężów stanu. I wyrzekł słusznie. Podzielono się ziemiami naszej Rzeczypospolitej, lecz zabić i rozszarpać duszy polskiej nie zdołano. Ona wraca na swój tor dziejowy — krew nasza w ciągu półtora wieku, nie lała się na marne — po 57 latach, najściślej w rocznicę rozpoczęcia powstania styczniowego na Rusi, w rocznicę wyjścia z Kijowa garstki bohaterskiej młodzieży, co legła w Sołowiówce, przez lud zamordowana, niosą owemu ludowi wolność i prawa do dalszego rozwoju — wchodzą do Kijowa wojska polskie, niosąc temu miastu i ziemiom przyległym zrzućcie jarzma komunistów moskiewskich, zwanych powszechnie „bolszewikami“...

Zbieg dat przypadkowy — wszakże nie bez znaczenia... Po dziewięciu wiekach, po raz pierwszy, nadszedł dzień, iż jednocześnie sztandar polski powiewa również nad Olzą, w Cieszynie, jak i nad Dnieprem, w Kijowie. Plan Chrobrego, wielkiego budowniczego państwa polskiego, urzeczywistnia się. Jeżeli chcemy być i trwać, musimy dziś i w przyszłości nie tracić z oczu zarysu planu owego wielkiego budowniczego, bo tylko idąc konsekwentnie za tym założycielem naszej budowy państwowej możemy wznieść gmach, co się oprze potędze czasu i wrogich żywiołów... I ta garstka „Straceńców“, co „padła swych idealnych dążeń ofiarą“, bezwiednie może, lecz szła za myślą Chrob-

rego: nie żelazne słupy, ale słupy ze swych kości wbijała w owe kończyny ziem dawnej Rzeczypospolitej, gdzie byliśmy, jesteście i pozostaniemy*).

Kraków, w maju, 1920 roku.

*) Młodzież, tworząca grupę tak zwanych Straceńców, wymordowanych w Sołowiówce, ma od roku 1892 pamiątkową tablicę w kościele św. Marji Magdaleny, we Lwowie. Napis zawiera nazwiska wszystkich, co tam zginęli lub ranni byli i następujące wyrazy: „Pamięci tych, którzy, niosąc swobodę ludowi Ukrainskiemu, padli swych idealnych dążeń ofiarą. 10 maja—28 kwietnia 1863 r. w Sołowjówce“. U dołu herb Polski, na jednej tarczy, Orzeł, Pogoń i Michał Archanioł.

POWSTAŃCY POLSCY NA BALTyku W R. 1863

...Dnia 14 lutego 1863 roku, w trzy tygodnie po wybuchu powstania w Królestwie, pierwsi ochotnicy wychodzili z Wilna, opuszczali wioski i zaścianki w Lidzkiem, dążąc pojedynczo lub po kilku ku puszczy rudnickiej, gdzie było wyznaczone pierwsze obozowisko dla tworzącego się oddziału Ludwika Narbutta. W kilka dni później z małych związków wytwarzał się pierwszy oddział powstańczy na Litwie, mając na swem czele, pełnego zapału i uzdolnionego do walki partyzanckiej, Ludwika Narbutta.

Knieje rudnickie, o kilka zaledwie mil od Wilna odległe, miejsce niegdyś łowów W. książąt litewskich i królów polskich, od Gedymina do Batorego, rozlegać się zaczęły już przy końcu lutego echem pierwszych potyczek Narbutta, które, że wypadły szczęśliwie, rozsławiły szybko jego imię. Zaczęto się skupiać około jego sztandaru. Artysta-malarz Andriolli, później szerzej znany na polu sztuki, przyprowadził mu z Wilna siedmdziesięciu

ludzi, dwaj bracia Brzozowscy i Leon Kraiński również przybyli z posiłkami do jego obozowiska; ludzi nie brakło. Był brak broni i amunicji. Powstał projekt śmiały w Wydziale Litwy, który z Wilna kierował powstaniem litewskim, by sprowadzić broń morzem z zagranicy. Dziedziny dawnej Polski opierały się o wybrzeża morskie na bardzo małej przestrzeni. Połaga na Żmudzi jedynym była portem, do którego mogła być skierowaną wyprawa morska.

Wypadki, w owych czasach, biegły z szybkością niezmierną. Pomysły, zamiary, zaledwie w zarysie powstałe w umysłach jednostek, urzeczywistniały się, przybierały postać czynu w ciągu dni niewielu, zaledwie nie w ciągu godzin niewielu... Nie upłynęło jeszcze cztery tygodnie od pierwszego wystąpienia Narbutta na Litwie, a w Londynie zaczęła się przygotowywać wyprawa z Anglii na Żmudź, z bronią, amunicją, wojskowemi rekwizytami i garstką ochotników.

Półkownik Łapiński, dawny emigrant, człowiek doświadczony, miał sobie powierzone przez Rząd Narodowy dowództwo wojskowe wyprawy; sprawy zaś administracji prowadził komisarz Rz. Nar. Demon-towicz, przy którym sekretarzem był Felix Zienkowicz, z Litwy, młody ziemianin, studjujący wówczas w Paryżu nauki przyrodnicze*).

*) Felix Zienkowicz († 1911) był synem Pawła, który, za dni prześladowań dzieci polskich przez Nowosilcowa, został, jako 16-letni chłopak porwany ze szkół Swisłockich, publicznie na rynku Swisłockim smagany różgami i zesłany na żo-

Przygotowując wyprawę morską na wybrzeża Żmudzkie, miano nie tylko na celu przywiezienie pewnej ilości broni, której zdobycie niezwłoczne naglącem było, lecz chodziło i o wrażenie, jakie to przybycie statku z ochotnikami mogło wywrzeć na ludność tameczną.

Najęcie statku, umontowanie go, prowadzono w Londynie z wielką szybkością, aby uprzedzić tajanie lodów w Kronsztadzie, które więziły w porcie tamecznym flotę rosyjską i mogły wieźć do kwietnia.

Chociaż całą sprawę tajemnicą okrywano, lecz powstanie polskie tak w owej dobie elektryzowało umysły ludów wolnych, w wielkich stolicach Europy, w Paryżu i Londynie, tyle mówiono o wypadkach nad Wisłą, iż nie podobna było utrzymać tajemnicy. Ambasada rosyjska w Londynie zatelegrafowała do Petersburga o zamierzonej wyprawie i otrzymała polecenie, by statek rosyjski wojskowy, jeśli jaki jest u wybrzeży angielskich, wyruszył natychmiast na Bałtyk poza okręt, wiozącym polską wyprawę. Zalecano mieć ten okręt na oku, dyskretnie go ścigać; na wodach obcych w żadnym razie nie atakować. Dopiero u wybrzeży rosyjskich miano nań napaść.

Łapiński, Demontowicz pilnie krzatali się około urządzenia wyprawy. Najęto duży parostatek Ward Jackson, którego kapitan, Anglik, Weatherley, niekiedy na Kaukaz. Kule czerkieskie nie dosięgły go jednak po wielu latach wrócił szczęśliwie do Ojczyzny

znany jako bywalec na różnych morzach kuli ziemskiej, z odwagi miał słynąć, wszakże, zdaje się, nie uśmiechała mu się perspektywa starcia się zbrojnego z fregatą wojсковą rosyjską. Zapewniano go, że niema niebezpieczeństwa, że Moskwa nic nie wie o zamierzonej wyprawie, a zresztą jego statek, posiadający maszynę o siłę 500 koni i robiący na godzinę 13 mil morskich, rękojmię dawał, wraz z przebiegłością i doświadczeniem kapitana, że szczęśliwie wymknie się od wszelkich niebezpieczeństw.

Statek przez Polaków wynajęty wiózł pod swym pokładem oprócz zapasu broni, wśród której były trzy małe armaty, oprócz znacznych zapasów amunicji, przeszło 150 ochotników, Włochów i Francuzów. Włoskie koła rewolucyjne, mocno sympatyzujące z powstaniem polskim, za pośrednictwem Mazziniego ofiarowały wyprawie 400 funt. szterl.

Rosyjska flota w owych dniach miała na wodach Tamizy jeden tylko statek wojсковy; była to korweta o 12 działach i o szybkości większej od parowca powstańczego; korweta już odpłynąć miała na Atlantyk, gdy ją wstrzymały rozkazy marynarki petersburskiej. Na parę dni przed odbiciem od brzegów Anglii Ward-Jackson'a powstały obawy, że korweta rosyjska może go ścigać; chodziło o jej wstrzymanie, bodaj na dobę.

„Bądźcie spokojni — mówił Mazzini, gdy go o radę pytano — to jest kwestja jedynie pieniężna, załatwię ją, dam ziomkom moim polecenie“. I na-

zajutrz, rzeczywiście, przyszedł jakiś Włoch, meldując półkownikowi Łapińskiemu, iż tak urządzono na statku rosyjskim, że dopiero za parę dni będzie zdolnym do wyjazdu... Obecnie zajęty jest poprawą swej maszyny... Kosztowało to niewiele: Włochowi dano 100 funtów.

Nazajutrz o świcie, a było to 25 marca, Ward Jackson wyruszył z ujść Tamizy na pełne morze. Nikt go nie ścigał... Do Kopenhagi podróż szła wybornie: ochotnicy nie próżnowali; korzystano z czasu, by ich chociaż trochę zapoznać z obrotami, z komendą wojskową, z obchodzeniem się z działami.

W Kopenhadze zatrzymano się: Kapitan statku wysiadł chwilowo na ląd i w pierwszej gazecie, która mu do rąk wpadła, wyczytał telegram z Londynu, donoszący, iż fregata rosyjska udała się w pogoń za polską morską wyprawą... Tej gazeciarskiej wiadomości wystarczyło, by kapitana zniechęcić do dalszej podróży. Po dłuższych rokowaniach, jakie z nim prowadzili dowódcy wyprawy, pozornie kapitan zgodził się na dalszą żeglugę w kierunku ujść Niemna. Nadeszła chwila stanowcza. Zbrojna załoga statku postanowiła bronić się, w razie zaatakowania przez nieprzyjaciela. Nadeszły telegramy, donoszące, iż marynarka rosyjska wysyła z Rewla statki w celu zniszczenia polskiej wyprawy, że lody szybko tają na wschodzie. Wszystko wskazywało, iż zbliża się groźna katastrofa.

Wobec grozy położenia postanowiono drogę sprzedać swe życie.

Dziwnie uroczysta chwila nadeszła — opowiadał piszącemu te wyrazy uczestnik wyprawy, Felix Zienkowicz. Wyniesiono na pokład chorągiew z godłami Polski i Litwy, uszykował się dokoła sztandaru cały oddział i ponowił przysięgę uroczystą, jaką już był wykonał po opuszczeniu Londynu.

Kapitan stawiał opór stanowczy, chociaż na pozór bierny tylko. W rzeczywistości stało się inaczej. Skierował statek ku wybrzeżom Szwecji i niebawem zawinął do portu Malmö... Wieść o przybyciu wyprawy polskiej, na szwedzkie pobrzeże lotem błyskawicy obiegła miasto.. Radni z orkiestrą powitali polskich żołnierzy; wprowadzono ich uroczyście do miasta, przy dźwiękach muzyki i okrzykach radosnych ludności.

Skomunikowały się władze szwedzkie ze swym rządem w Sztokholmie, skąd nadeszły wieści nader przychylne dla nas. Dano koszary dla użytku polskich żołnierzy i część ich utrzymania rząd szwedzki wziął na swój koszt.

Pobyt żołnierzy polskich w Malmö trwał przeszło dwa miesiące. Rząd Nar. polecił Łapińskiemu, by bądź co bądź, bodaj z małą liczbą żołnierzy wyładował na wybrzeżach żmudzkich. Potrzeba było czekać stosownych okoliczności i przygotować inny statek dla przeprawy, gdyż Ward-Jackson zbyt był znany okrętom rosyjskim, wciąż ukazującym się u wybrzeży Szwecji.

Podczas pobytu powstańców w Malmö żołnierze ćwiczyli się na błoniach, statek był dla nich od-

wachem i składem. Karność żołnierza budziła podziw. Niekarne i niechętnie żywioły wysłano do Anglii. Karność i ład powiększyły sympatję mieszkańców, którzy przez cały czas przyjmowali ich z życzliwością: dobry ten wzajemny stosunek nie został wcale ani na chwilę zakłócony.

Z owych dni pobytu powstańców w Szwecji zaznaczyć należy dwa zdarzenia niezwykle, świadczące jak głębokie sympatje dla Polski — przenikały cały naród szwedecki, nie wyłączając sfer najwyższych i ówczesnych sterników państwa.

Dla lepszego porozumienia się w sprawie wyprawy, Demontowicz udał się ze swym sekretarzem, Felixem Zienkowiczem i półk. Łapińskim do Sztokholmu. W stolicy podejmowano całą tę starszyzną wyprawy ostentacyjnie i z uznaniem wielkiem.

Ówczesny minister spraw zagranicznych w Szwecji, Manderström, któremu przedstawił się półk. Łapiński, mówił mu, że z przyjemnością patrzy na zachowanie się wzorowe Polaków w Szwecji, iż króla napęłnia to radością.

Były dla nich bale, przyjęcia, w których brała udział cała inteligencja stolicy; zaznajamiano się z nimi, wyróżniano ich. Panie w Sztokholmie ze znaną literatką, Fryderyką Bremer na czele, przygotowywały dla naszych żołnierzy ubrania i środki opatrunkowe do ambulansów. Skubano szarpie, szyto bandażę.

Zienkowicz bliżej nieco zapoznał się z bibliotekarzem biblioteki królewskiej, który mu raz zapro-

ponował zwiedzenie księgozbioru królewskiego, w godzinach, gdy ten dla wszystkich, był zamknięty. Zienkowicz chętnie zgodził się na propozycję i w dniu wskazanym przybył. Sale były puste, nikt w nich nie pracował. W jednym tylko pokoju przechadzał się jakiś mężczyzna poważny... Bibljotekarz, po krótkiej rozmowie i pokazaniu Zienkowiczowi kilku białych kruków księgozbioru, zaproponował, że go przedstawi owemu mężczyźnie, przechadzającemu się w przyległym salonie... Przedstawił, nie wymówiwszy jednak nazwiska nieznajomego, który, usuwając się w głąb sali, rozpoczął z Zienkowiczem rozmowę, lecz nie na temat rzadkich dzieł, które ich otaczały, ale o powstaniu w Polsce. Mówił ów nieznajomy o sprawie Polski z niezmierną sympatją; interesowały go wszelkie szczegóły, podziwiał ową źle uzbrojoną młodzież, która walczyła wśród warunków najcięższych... Zienkowicz, z właściwym sobie temperamentem, łatwo zapalnym, rozwijał obraz wypadków ówczesnych w Polsce...

Mówił długo, gorąco, tembardziej, że w oczach Szweda widział szczerość współczucia i zapal.

Rozmowa trwała przeszło pół godziny. Młody Polak zachwycony był rozmową z człowiekiem nieznanym, wysokiej inteligencji i wrażliwości rzadko spotykanej. Nieznajomy uścisnął wreszcie dłoń Zienkowicza i bocznem wejściem udał się szybko w głąb pałacu.

— Kto to ten pan nieznajomy? — pytał Zienkowicz. Bibljotekarz nazwał go mecenasem nauk,

pisarzem, poetą. Zdawało się, iż unika bliższych objaśnień.

Po paru dniach Felix Zienkowicz, przechodząc blisko pałacu królewskiego, zauważył, iż publiczność wita kogoś z entuzjazmem.

Ogólne zdejmowanie czapek przed dostojnikiem, w którym poznał nieznajomego z biblioteki, zastanowiło go bardzo. Zapytał przechodniów.

— Pan nie wiesz? — przecież to król — ktoś odpowiedział.

Tak, był to w istocie Karol XV, król szwedei, poeta na tronie, wielki przyjaciel narodu polskiego, znawca i wielbiciel naszej poezji, szczególnie Z. Krasińskiego. Spotkania, wśród ścisłego incognito, z którymiś z urzędników ówczesnego powstania pragnął król i dlatego zażądał od swego bibliotekarza, by mu to ułatwił. Bibliotekarz wpadł na pomysł urządzenia powyższego spotkania z Zienkowiczem. Wybór był trafny.

Drugim przykładem zainteresowania się naszą sprawą w Szwecji było zaproszenie polskich żołnierzy z koszar w Malmö do miasta Lund.

Zaproszenie oczywiście było przyjęte. Osobny pociąg przywiózł ich z Malmö do Lund, gdzie jest uniwersytet i katedra biskupstwa luterekiego. Z niesłychaną uroczystością ich witano. Zaprowadzono przy biciu z dział do katedry, biskup sam celebrował i po nabożeństwie „Boże coś Polskę”, po szwedeu, zaintonował... Młodzież akademicka hymn ten odśpiewała. Wzruszenie było ogólne, pla-

kali Szwedzi, kobiety ich głośno łkały. Czczono w ten sposób nasz ówczesny poryw do walki... Wieczorem uroczyście odprowadzono na dworzec gości polskich; miasto było iluminowane, okrzyki „niech żyje Polska“ brzmiały dokoła... Działo się to 19 maja 1863 r., a po trzech tygodniach na karcie dziejowej zapisało fatum, nam stale nieprzyjazne, klęskę wyprawy, gdy lądowano blisko Kłajpedy (Memla). Oczekiwano z upragnieniem na Żmudzi przybycia wyprawy Łapińskiego. Bolesław Dłuski parę razy pobił tam Moskali, zdążających na odparcie tej wyprawy. Nadzieje zawiodły w sposób okrutny *).

Ze statku już innej wyprawa przeprowadzała się łodziami przez zatokę na terytorjum pruskie, skąd miano się udać pieszo do bardzo bliskiej granicy Żmudzi. Gwałtowne fale przewróciły łodzie; znaczna część żołnierzy w głębinach morza znalazła grób.

Była to jedna z tych chwil tragicznych, których tak wiele złożyło się na dzieje naszych walk w roku 1863.

*) Półkownik Bolesław Dłuski, znany pod nazwą „Jabłonowskiego“ w roku 1863 dowódca na Żmudzi, lekarz, zarazem i artysta malarz, umarł przed kilku laty w Krakowie.

ZAWIĄZEK POLSKIEJ FLOTY W POWSTANIU STYCZNIOWEM.

Dzieje nasze porozbiorowe zaledwie od lat dwudziestu zaczęto uprawiać. Insurekcja kościuszkowska, legjony włoskie, walki pod sztandarem Napoleona, nadzieje do tych walk przywiązane — to pole badań dotychczasowych. Pod umiejętnym kierunkiem rozpoczęte i prowadzone dojdą bez wątpienia z czasem do gruntownego zbadania prawdy, do zarysowania obrazów rzeczywistości..

Do epoki 1863 roku jeszcze nie zdołano sięgnąć, a jeżeli niektórzy doszli, nie zdołali wielu kwestyj rozwiązać, niejedno nieświadomie pominęli. Nie dziwny się przeto, że, poza nielicznym szeregiem badaczy przeszłości, szerszy ogół nieświadomy dotąd wielu zjawisk. Zabytki archiwalne, przeważnie poniszczone, nie istnieją lub zbyt niekompletne, we fragmentach rozproszone po świecie, trudne dziś do odszukania, tradycja zamilkła,

świadkowie owych czasów już teraz nieliczni: dawne, współczesne wypadkom pokolenie, prawie całe zeszło do grobu... Nie dziwny się przeto, iż gdy na początku roku 1921 ukazał się na wodach Bałtyku i morza Północnego statek „Kraków” z polską banderą — od wieków na tych wodach niewidzianą — zawołano w szeregach naszego dziennikarstwa, że to poraz pierwszy od czasów Władysława IV bandera polska powiewa na wodach mórz europejskich.

W tym okrzyku, jak często i w innych relacjach publicystyki naszej, spotykamy nieznaną przeszłości i to niedawnej.

Powstanie styczniowe posiadało swoją flotę, a przynajmniej zawiązek własnej floty — wprowadzie nader skromną — jeden tylko wielki parowiec wojenny ją reprezentował, ale własny — i polska bandera, w chwilach, gdy w kraju powstanie wygasło, w lutym 1864 roku, wznosiła się ponad falami Atlantyku, widziano ją na Gibraltarze, witano w Maladze, na wodach morza Śródziemnego.

Ta zbrojna korweta polska, nosząca nazwę „Kościeszko”, miała poza sobą przeszłość dziejową i doświadczenie bojowe, aczkolwiek to doświadczenie nie w walkach o naszą wolność zdobyła. Pochodzenie statku było cudzoziemskie — amerykańskie. Tam go zbudowano; tam brał bardziej czynny udział w wojnie domowej Północy amerykańskiej z Południem i nosił wówczas nazwę „Floryda”.

Parokrotnie Polacy w roku 1863 brali udział w wyprawach, prowadzonych przez morze. Jedną z nich, była wyprawa Łapińskiego z Londynu, od ujścia Tamizy na Żmudź, z bronią i garstką ochotników; wyprawa, która ścigana przez fregatę rosyjską, utknęła na szwedzkim wybrzeżu i ostatecznie celu nie osiągnęła. Druga skierowana była na morze Czarne: chodziło o zabranie z kaukaskich wybrzeży deztererów Polaków, którzy z wojska rosyjskiego do powstającej swej Ojczyzny przedrzeć się pragnęli. Lecz i tu wyprawa skończyła się niepowodzeniem. Obie one prowadzone były na cudzoziemskich statkach, pod obcym kierownictwem. Zawiązkiem siły morskiej, polskiej, z własną banderą, z celem ściśle określonym walczenia z nieprzyjacielem i szkodenia mu na morzu — stał się wojskowy statek „Kościeszko“.

Geneza pomysłu stworzenia polskiej floty w powstaniu styczniowem tak się zarysowuje.

Generał Władysław Zamoyski, chociaż nie miał żadnego stanowiska z ramienia Rządu Narodowego, nie mniej nieustannie zabiegał o wszystko, co mogłoby przynieść jakąś korzyść powstaniu. Korzystając ze swoich licznych stosunków w kołach arystokracji angielskiej i w sferach tamiecznych parlamentarnych, starał się usilnie o uznanie Polski, jako stronę wojującą. Zabiegi nie przynosiły długo żadnego skutku. Ministerstwo angielskie twierdziło, że praktycznych następstw mieć to nie

może, naraziłoby zaś Anglię na wojnę z Rosją. Wreszcie w lipcu 1863 roku, oświadczoneo Zamoy-skiemu, iż pośrednio dałoby się to zrobić, gdyby okręt pod banderą polską zawinął do posiadłości angielskich — np. do Malty — wówczas Anglja uznać by go musiała: „albo za okręt nieprzyjacielski, albo za statek państwa istniejącego“... Myśl dyplomaty angielskiego podjęto, starano się urzeczywistnić, tembardziej, iż ministerstwo angielskie do tego projektu dodało zapewnienie, że Anglja, gdyby taki okręt przybył do Malty, nie uzna go za nieprzyjacielski, nie przyaresztuje, a temsamem „faktycznie uzna flagę polską za istniejącą“ — i w następstwie, stosownie do praw międzynarodowych morskich, uważać będzie musiała Polskę za stronę wojującą.

Skoro wiadomość o tem nadeszła do Warszawy — około połowy sierpnia 1863 roku — Rząd Narodowy chętnie poparł ten projekt i zaczęto go urzeczywistniać. Nabycie stosownego statku przedstawiało wszakże pewne trudności, przedewszystkiem finansowe. Rząd Narodowy, zajęty wówczas walką nietylko z nieprzyjacielem, ale i z domowem warcholstwem, które starało się go za wszelką cenę obalić, nie mógł energicznie popierać tego projektu, ani też narazie dostarczyć stosownej materialnej pomocy. Urzeczywistnienie i środki pieniężne, nawet bardzo znaczne, znalazły się w ofiarności rodziny xiążąt Czartoryskich i osób najbliższej z nimi spokrewnionych. Sprawą tą zajęli

się wyłącznie generał Władysław Zamoyski i książę Władysław Czartoryski. Wyszukano ową, wspomnianą tu, „Florydę“, chwaloną z szybkości i kupiono ją za 1.800.000 fr. Sumę tę dostarczyła książna Adamowa Czartoryska i generał Wł. Zamoyski z żoną.

Sprowadzoną z Ameryki „Florydę“ potrzeba jednak było nieco naprawić; skołatana bowiem i skrzypiąca nadeszła ta fregata na wybrzeża angielskie. Dokonano tego w porcie Newcastle, gdzie należycie umontowano, uzbrojono i dano nazwisko nowe „Kościuszko“.

Kwestja, komu poruczyć dowództwo nad tym zawiązkiem marynarki polskiej, niełatwą była do rozwiązania. Dochodziły wprawdzie wieści, że gdzieś w północnych regionach oceanu Spokojnego, dowódca rosyjskiej fregaty, Polak, z ziemiańskiej rodziny, z kijowszczyzny, Władysław Zbyszewski, dowiedziawszy się o polskim powstaniu, oddał statek, którym dowodził, i znaczną sumę rządowych pieniędzy, jakie miał w swem zachowaniu, starszemu oficerowi fregaty, a sam wracał do Ojczyzny, nieść jej pomoc swą wiedzą i ramieniem — więc na niego zwrócono uwagę, iż najwłaściwiej oddać mu naczelnictwo tworzącej się polskiej marynarki. Myśli tej jednak narazie trzeba było zaniechać. Wieści bowiem o Zbyszewskim trudne były do sprawdzenia i jego przybycie z wód japońskich w owych czasach, przy nieregularnej i mniej szybkiej komunikacji,

niz się to dzieje obecnie, znacznie się mogło opóźnić. Nie czekając więc na Zbyszewskiego, postanowiono pójść za wskazówkami rządu francuskiego, który radził zamianować Francuzą, niejakiego Magnan'a, kapitana marynarki francuskiej. Rząd Narodowy poszedł za tą wskazówką, bo rekomendacja była poważna, a kandydat miał nawet stosunki w sferach dworskich w Paryżu.

Nim się to wszystko uregulowało, nim ukończyła się naprawa statku, nadeszły rządy Traugutta. Widzimy w pierwszych dniach jego rządów Magnan'a w Warszawie, dokąd on przybył dla otrzymania nominacji i instrukcyj. Wygotowano nawet dla niego, jako dla cudzoziemca, patent na prawa obywatelstwa polskiego, który wszakże miał być wręczony dopiero po objęciu naczelnictwa nad flotą. W instrukcjach i umowach, z nim zawartych, powiedziane było, iż w zarządzie okrętu miał się trzymać statutu marynarki francuskiej, miał napadać i niszczyć okręty rosyjskie wojenne i handlowe; zdobycz miała stanowić własność Rządu Narodowego, a za każdy zdobyty lub zniszczony okręt nieprzyjacielski miał Magnan otrzymać 25 do 30 tysięcy franków nagrody. Przedstawicielem rządu na okręcie, z tytułem komisarza, mianowano Leona Królikowskiego. Załogę statku miano gotową. Składała się ona z tych trzydziestu, czy nieco więcej marynarzy, którzy brali udział w wyprawie Łapińskiego z bronią na Żmudź. Te młode „wilki morskie“, przewiezione

z wód Bałtyku na bruk londyński niezupełnie prawidłowo tam się zachowywały, ku zgorszeniu władz angielskich, co spowodowało wywiezienie owych zuchów — różnego pochodzenia i różnych języków — na wybrzeże południowej Francji, do wiosek, otaczających Marsylję. Tam czuwał nad nimi i codziennie objeżdżał ich kwatery, żołd wypłacając (po 3 franki dla żołnierzy, a po 5 franków dziennie dla oficerów), hrabia Jan Mohl, sekretarz generała Zamoyskiego, ziemianin z Inflant polskich. Tak rzeczy się miały ku końcowi 1863 roku.

Wreszcie w pierwszej połowie stycznia 1864 roku „Floryda“, ochrzczona mianem „Kościszki“, opuściła Newcastle i, przepłynąwszy Gibraltar, zawinęła do hiszpańskiego portu, Malagi, dla nabrania węgla i wody. Zdaje się, iż już u hiszpańskich wybrzeży naprawy on potrzebował, spotykamy bowiem o nim świadectwo niepodejrzanej wartości byłego dyrektora wydziału wojny Dembińskiego, który już wówczas bawił zagranicą. Dembiński tak pisał: „Był to bardzo ciężki okręt i źle chodził. Ciężaru mało przyjmował, tak że po węgle nieomal co trzy dni wstępować trzeba było“.

Jednocześnie z przybyciem „Kościszki“ do Malagi ukazał się u księcia Czartoryskiego, przybyły z wód japońskich, Władysław Zbyszewski. O obu tych zdarzeniach posłany był raport księcia do Trautgutta dnia 1 stycznia 1864 r. Proszono w tem za-
wiadomieniu o nominację dla Zbyszewskiego na na-

czelnika sił morskich polskich, który przybrał nazwisko „Felixa Karpia”. Magnan, wobec przybycia marynarza Polaka, został wyposażony jakimś honorowym tytułem, Karp zaś otrzymał nominację na „kapitana” „wojennej marynarki polskiej” i poruczono mu obowiązki głównego „organizatora sił morskich narodowych”... a przytem — jak powiedziano w nominacji — „będzie miał główne dowództwo tych sił morskich, które pod jego kierunkiem i zwierzchnictwem zostaną”...

Tak brzmiała nominacja Karpia, wydana przez Traugutta, dnia 8 lutego 1864 roku, w Warszawie, a wydana jako odpowiedź na wiadomość, iż „Kościeszko” płynie już przez Atlantyk... Wiadomość ta była ostatnią dobrą wieścią, która opromieniła radością poważne oblicze tajemnego dyktatora. Wnet po otrzymaniu tej wiadomości ujął on pióro i tak pisał do xięcia Władysława Czartoryskiego „Agenta dyplomatycznego Rządu Nar. we Francji i Anglii” (8 lutego 1864 roku): „Kościeszko” puścił się na morze. Opatrzności Bożej i szczególnej opiece Królowej naszej Niebieskiej polecamy ten zawiązek floty naszej narodowej i nie zapomnimy, że pierwszy nasz statek przez mozolne i wytrwałe starania xięcia został normowany i wywiesił przed światem dawno zapomnianą banderę polską. Wróg z pogardą odzywa się o nim, ale siła nasza w Tym, który pobłogosławić raczył bezbronnej garstce bohaterów, co rok temu uderzyła na całą potęgę Moskwy. I o tych walecznych również z pogardą i lekceważeniem

nieprzyjaciele nasi odzywali się; ale Bóg nie z pyśnymi, a wiara nasza tem jest mocniejsza, że widocznie ręka Boża jest z nami i On dziełem naszym kieruje“...

Powyższe wyrazy, głęboką wiarą religijną natchnione, miały się ziścić, lecz nie w owych dniach, ale po upływie więcej niż pięćdziesięciu lat. W owych bowiem dniach już wszystko upadło: Kraj był wyćieniony, walka wygasła i po paru miesiącach miała na pół wieku zamilknąć... I to przedsięwzięcie wytworzenia sił morskich upadło, podobnie jak upadły wtedy inne przedsięwzięcia i instytucje powstańcze. Rząd rosyjski dzięki swej sieci szpiegowskiej, dobrze zorganizowanej za granicą, i czujności niezmiernej, tudzież dzięki polskiej, nigdy nie-milknącej, gadatliwości, wybornie był poinformowany o tej całej naszej akcji morskiej i o celu podróży polskiego statku. Ówczesny poseł rosyjski w Madrycie, książę Wołkonskij, zawiadomił hiszpańskie ministerstwo, jakoby „Kościuszko“ wiozł broń dla powstania karlistów w Aragonji. Ta kłamliwa denuncjacja wywołała pożądane dla Rosji następstwa: władze hiszpańskie okręt, który — jak wiemy—chwilowo zatrzymał się w Maladze, skonfiskowały, załogę przyaresztowano, a broń zabrano.

Generał Zamoyski wnet wysłał hrabiego Mohla, aby rzecz odrobił. Sprawa była trudna, ale dzięki opinji publicznej, gorąco nas broniącej, dzięki potężnym stosunkom, udało się okręt odebrać, załogę uwolnić; rząd hiszpański wszakże broni nie od-

dał; ambasador rosyjski bowiem groził opuszczeniem Madrytu i zerwaniem stosunków dyplomatycznych...

Były to ostatnie dni lutego 1864 roku, chwila, gdy najcięższe ciosy spadać zaczęły na Polskę, gdy Austrija, ogłaszając stan oblężenia w Galicji, dobiła gasnące powstanie...

Wkrótce cisza grobowa zaległa skrwawione pola ziemi naszej. Upadłej sprawy ponownego powstania sił polskich na morzu nikt odtąd, w dniach kończących powstanie, nie podjął — a wkrótce i tradycja o zabiegach, pracach, ofiarach, by banderę naszą zapomnianą ukazać światu, zamilkła. A jednak słowa błogosławieństwa Traugutta dla tego związku polskiej marynarki nie giną dziś w przestrzeni bez echa; one spadają na wznowioną teraz naszą banderę, one powinny pozostać w sercach i umysłach tej młodzieży, która obecnie kształcić się zaczyna na polskich marynarzy. Zobaczą oni w przyszłości niejednego polski okręt — mogą wybrzeża naszego Pomorza zarość się ciżbą naszych wojskowych i handlowych statków, lecz pamięć o „Kościszce“, nad którym sztandar z „Orłem, Pogonią i Archaniołem“ powiewał w roku 1864 na Atlantyku, u skał Gibraltaru i na hiszpańskich wybrzeżach, na którego pokładzie brzmiały słowa polskiej komendy — nigdy nie powinna zniknąć z ich myśli i serc.

UDZIAŁ KOBIET POLSKICH W POWSTANIU STYCZNIOWEM.

„A osobliwie żywe jeszcze podania zapisujcie; jak te
przepadną i historia przepadnie — i będziem ją wtedy tak
pisać, jak o nas piszą Francuzy i Niemcy, co się już i dzi-
siał wydarza“...

Adam Mickiewicz.

Pokolenie, które na swych barkach dźwigało
brzemień walki 1863 roku, przyszło na świat w latach,
bezpośrednio idących po listopadowem powstaniu.
Okres lat od roku 1833 do 1843 był dobą jego przy-
jścia na świat... Wskazując rzeczoną datę, nie twier-
dzimy, że wyłącznie te młodziutki, zaledwie doj-
rzałe wówczas zastępy, przyjmowały udział w ru-
chu zbrojnym. Kraj cały, jak długimi i szerokimi
były ziemie dawnej Rzeczypospolitej, udział w nim
wziął, a nawet ów ruch tak daleko sięgnął, jak ni-
gdy przedtem, ale w łonie rzeczonego pokolenia
inicjatywa ruchu powstała... Później zaś, gdy ruch
dojrzał, gdy z doby tak zwanej manifestacyjnej za-

mienił się na walkę zbrojną, stanęli w jego szeregach ludzie znacznie starsi; starszych pokoleń szeregi przewodziły mu, były wielokroć jego wódzami.

Kobiety nasze, biorące udział w powstaniu styczniowym, czy też w wypadkach doby manifestacyjnej, poprzedzających epokę ruchu zbrojnego, przeważnie, niemal wyłącznie, należały do tegoż pokolenia, a często nawet do nieco starszego. Ich lata urodzenia sięgały 1830 roku lub czasów dawniejszych.

Od pierwszych chwil doby manifestacyjnej, od chwili, gdy w dniach lutowych 1861 roku pierwsze strzały padły na ulicach Warszawy, gdy pierwsze krwi strumienie bryznęły na bruk stolicy, stając się nasieniem doby innej, doby niezmiernego duchowego podniesienia społeczeństwa — kobieta bierze udział w ruchu manifestacyjnego okresu. Nie podnieca do demonstracyj, nie organizuje ich, ale odczuwa głęboko nowe prądy i staje niejako na straży, by te podniesione fale szlachetne nie opadały. Kobiety pierwsze przywdziały żałobę, za niemi poszła męska połowa społeczeństwa — i wkrótce cały naród okrył się żałobą. . Rozpoczęła się doba tak nazwanej przez wroga — i słusznie nazwanej — „rewolucji moralnej“...

W tej metamorfozie duchowej rola kobiety-Polki, acz nazewnątrz nie uwidocznia się, jest w istocie niemałą.

Ona nader czynny bierze udział we wszystkich obchodach narodowych, nabożeństwach i jednoczy się z całym tym ruchem, przepowiedzianym przez Mickiewicza, prawie na lat dwadzieścia przed

rokiem 1861... W jasnowidzeniu przyszłości poeta, prorok narodu, rzekł: „Stańmy się nieskalani i prości, silni prawdą ducha, a smok piekielny sam się rozpadnie... Straszny to, potężny nieprzyjaciół w walce na siłę cielesną; zwojuje królestwa i narody, i nic mu się nie ostoï, co walczy jego bronią... jedna broń ducha, siła prawdy i wiary, ta go pokona. Złego złem nie zwyciężysz...”

Hasło poety: „Złego złem nie zwyciężysz“, wypowiedziane w roku 1846, było przedniejszem wyznaniem wiary tłumów, które z hymnem „Święty Boże“ ginęły na bruku warszawskim, i szybko przekształcały się duchowo, starały się być, jak mówił poeta — „nieskalani i prości, silni prawdą ducha“...

Hasło to głęboko wsiąknęło w duszę polskiej kobiety... O bohaterstwie wśród niewiast polskich, o ich poświęceniu, nie na godziny i dnię, ale na lata mierzonem, mówi nam niejedna karta dziejów przeszłości naszej, nie zabrakło go u nich i w tych latach pamiętnych. Zawsze wysoko kobieta polska stała pod względem moralnym, w epoce zaś, o której mówimy, dochodziła wielokroć do szczytu poświęceń, zaparcia się siebie dla dobra umiłowanej idei.

Imiona ich w znacznej części zatraczone — i zapewne owe klejnoty ducha niewiast naszych nigdy zupełnie zebrane nie będą — niemniej koniecznem jest, by z głębi przeszłości, tak stosunkowo niedawnej, a tak mało znanej, tak opacznie zarysowującej się w umysłach ludzi dzisiejszych, z otchłani grobów zabrzmiał głos, nawołujący do pilniejszego

studjowania czasów styczniowego powstania, by pióra, skądinąd uzdolnione, nie narzucały rysów erotyzmu kobietom owych czasów... by je stosownie odtwarzano na kartach historii, czy też powieści.

Ze smutkiem widzimy, iż niektórzy obecnej doby pisarze, nie doceniając charakteru ludzi ówczesnych, wtłaczają wcale niewłaściwie obrazy erotyzmu krańcowego lub kokieterji w postaci niewiast polskich z doby bojów styczniowych... Gdy tymczasem odblask rzeczywistości był inny: najprawdziej odbija się on w poezji Mieczysława Romanowskiego, który mówi: „Nie czas marzyć o kochaniu — o bogdance i róż rwanu — dla nas niema róż“... Proste wyrazy piosenki poety chwili dziejowej ówczesnej, malują najwierniej nastrój społeczeństwa, którego cały zasób siły dążył w jednym kierunku: odzyskania utraconej niepodległości... Wychowanie ówczesne chroniło kobiety nasze od erotyzmu, myśli zaś kokieteryjne rozpraszała powaga chwili. Znikały one wobec prac, wysiłków, wobec dni pełnych grozy... wśród przeczuć jeszcze groźniejszych. Wyrazem przeczuć zbrojnej walki są słowa poety: „Rozwidnia się piorunami ciemna noc przed nami“...

Rozwidniała się ciemna noc gwałtownie.. Bój rozpoczął się w Królestwie i, po paru miesiącach, a nawet nieco wcześniej, szcęk oręża słyszymy na Litwie i dalej. Krwią wnet zaznaczają się dawne wschodnie granice Polski... oręż sięgnie do kończyn wschodnich ujarzmionej Ojczyzny.

W chwili ostatniej, przed rozpoczęciem walki, kiedy w Komitecie Centralnym redagował Jan Maykowski, członek rzeczonego Komitetu, manifest, wzywający do boju, bardzo uzdolnione pióro niewieście, pióro poetki, Marji z Maykowskich Illickiej, nakreśliło w tym pamiętnym akcie całe ustępy... Wśród licznych aktów, manifestów, odezw, proklamacyj, biuletynów, które wydało powstanie styczniowe, był to dokument pierwszy, zarazem zaś ostatni, który w pewnej części został wytworzony przeważnie dłonią niewieścią.

Jednocześnie z rozpoczęciem walki zaczęły się organizować instytucje tajemne, w celu niesienia różnorodnej pomocy rozwijającemu się powstaniu. Kobiety nasze naprzód w Warszawie, potem na prowincji, wreszcie, kiedy walka przekroczyła Niemien i Bug, w dalszych okolicach kraju tworzyły koła, opiekujące się rannymi, więźniami, wygnańcami lub ich rodzinami; dostarczały żywności i odzień do obozów, opiekowały się obozowiskami, pośredniczyły w komunikowaniu się oddziałów; pracowały, czuwały w tajemnych szpitalach, w improvisowanych ambulansach, wśród niebezpieczeństw nieustannych, wśród obaw o cześć, o wolność, o życie...

Przed innemi kołami niewieściami zawiązało się koło w Warszawie, tak zwany „Komitet Kobiet“. Przewodniczył on małym grupom, składającym się z pięciu niewiast. Ten długi łańcuch, złożony z ogniw pracowniczek po pięć osób, oplatał całą Warszawę, szedł w głąb prowincji, rozpostarł

się po miastach i miasteczkach Królestwa. Czcigodną ową instytucję niewieścią nazywano „Piątkami”. „Piątek” praca różnorodna wielką była dźwignią pomocy w powstaniu. Należały Piątki do warstw różnej zamożności, przeważnie do kół mniej zamożnych. Dobrowolne opodatkowanie się kobiet dostarczało funduszków, któremi Piątki rozporządzały gwoili celom pomocy dla walczących, rannych, więźniów, jeńców i ich rodzin ubogich. Piątki tworzyły tłum pracowniczek olbrzymi, ale i praca ich była olbrzymią i różnorodną: w miastach, wioskach, w polu i lasach, w obozowiskach...

Mnóstwo nazwisk kobiet, należących do Piątek w Warszawie zapisało się chlubnie w pamięci ówczesnych. Wszystkich kobiet, które swą pracą w Warszawie wyróżniały się, wyliczyć nie podobna... Zapisujemy tu wszakże kilka nazwisk dla pokoleń późniejszych, acz ich ilość, razem zebrana, niemal xięgę wytworzyćby mogła. Widziano wówczas wśród najczynniejszych Piątek, w murach stolicy: Annę Henrykową Krajewską, Celsową Lewicką, Monikę Dmitrjew, Alexandrę Karwowską, Olimpiję Bielajew (późniejszą Edwardową Pożerską), Sewerynę z Żochowskich Pruszkową (późniejszą Duchińską), Marję z Maykowskich Ilnicką, Jadwigę Łuszczewską (Deotymę) i cały legion innych, których nazwiska zaginęły może w fali nieszczęść narodu, pamięć jednak całego tego legionu pracownic pozostanie na zawsze otoczona czcią dziejów Polski porozbiorowej.

Posiadało Wilno, posiadał Lwów i Kraków swe towarzystwa, niosące pomoc powstaniu. W Wilnie te polskie samarytanki walczyły z trudnościami niezmiernymi, stódkroć większemi, niż w Warszawie i Lwowie: na każdym kroku praca ich była spętana groźnemi niebezpieczeństwami. Wileńskie niewiasty pracowały niczem nieustraszone, podobnie jak owe kobiety z pierwszej doby rozwoju chrześcijaństwa, które osłonięte cieniem nocy, za dni prześladowań Dyoklecjana, szły zbierać potargane szczątki umęczonych braci. Tekla Kleczkowska, Stefanja Falska, siostry Dalewskie, Houwaldtowa, Ludwikowa Kondratowiczowa (wdowa po Władysławie Syrokomli) i cała ciżba innych, na bruku wileńskim, zbroczonym obficie krwią traconych, wytrwale, cicho niosły czyny miłosierdzia chrześcijańskiego...

We Lwowie, pomimo ciągłych wahań ówczesnego rządu austriackiego, to prześladowającego każdy objaw patriotyczny, do udającego, iż nic nie widzi, praca była łatwiejszą i bezpieczniejszą. Szła ona raźnie, przeważnie pod sterem umiejętnym Felicji Boberskiej. Wymownym czynem zachęcała ona kobiety galicyjskiej dzielnicy, by w chwili owych wielkich wysiłków męskiej połowy społeczeństwa dłoń kobiety-Polki ujęła lemiesz pracy, ułatwiała cichemi czynami miłosierdzia i poświęcenia te krwawe zapasy, trudy walki... „My, niewiasty — mówiła jej odezwa — potrafiłyżbyśmy pozostać całkiem bezczynnie, nie usiłowały nieść walczącym żadnych usług i ulg? To, co my, nie-

wiasty możemy, to nieśmy: pracę rąk naszych i każdy grosz uzyskany największą oszczędnością“...

Słowa Felicji Boberskiej nie poszły na marne. Zbierane przez Lwowianki fundusze wytwarzały dla powstania znaczną pomoc materialną. Kierował tą działalnością, w lecie 1863 roku, „Komitet niewiast polskich we Lwowie“... Do tego Komitetu Rząd Narodowy dnia 26 czerwca 1863 r. wystosował pismo, pełne uznania dla prac Lwowianek. Czytano w owym piśmie następujące wyrazy:... „Wy do tej walki straszliwej zdołałyście przynieść coś więcej nad łzy i modlitwy: silne, bo kochające, wierne, bo nadziei pełne, stoicie u krat więzienia, chylicie się nad łózkami szpitalnemi, a z grosza waszego, co już zasilał wdowy i sieroty, został jeszcze jeden pieniążek kosztowny, za który kupujecie tę broń drogą, co ma dać wolność Ojczyźnie naszej. Niewiasty polskie! Rząd Narodowy dziękuje wam za to...“

Podobną działalność kobiety - Polki spotykano w owej epoce w Żytomierzu, w Kijowie, w Kamieńcu Podolskim, w wielu miejscowościach na Litwie, poza Wilnem, które nie dawało się prześcignąć żadnemu z miast na drodze poświęcenia i ofiarności.

Na owej działalności nie zamykały się szranki pracy kobiet naszych w powstaniu styczniowym. Słaba ich dłoń nie brała oręża, lecz niejedna położyła prawdziwie bohaterskie zasługi na polach walki i dokoła obozów. Przewoziły one broń i korespondencję z oddziałów powstańczych do różnych

urzędów narodowych; podejmowały się wypraw najniebezpieczniejszych, zleceń prawie nie do pokonania z powodów rozmaitych trudności, wielokroć ryzykując życie, wychodziły, z owych przepraw zwycięsko.

Kobiety, utrzymujące stałą komunikację obozowisk z Warszawą, nazywano kurjerkami. Kurjerki tyle dowodów poświęcenia złożyły, iż ich pamięć powinna być wciąż otoczona. Iść z bronią w dłoni na nieprzyjaciela, na polu walki, było, zaiste, rzeczą łatwiejszą, wymagającą mniejszej odwagi, niż długie dnie i noce przedzierać się przez duże przestrzenie, napełnione wojskiem nieprzyjacielskiem, omijać strażę, wymykać się brutalnej pogoni, narażać się na zniewagi. Na takie próby gotowe tylko być mogły kobiety-Polki o wielkiej miłości Ojczyzny...

Z orężem w dłoni, w szeregach zbrojnych widziano tylko jedną kobietę niezmiernej odwagi, a zarazem i poświęcenia — Henrykę Pustowójtównę. Nie była ona pochodzenia rosyjskiego, jak mylnie twierdzą. Ojciec jej, Węgier Pusztaj, emigrował do Rosji, przybrał nazwisko Pustowojtów, matka z domu Kosakowska, nie było w jej żyłach ani kropli krwi rosyjskiej. Imię jej często spotykamy na karcie dziejów powstania styczniowego, lecz pióra, zarówno historyków jak i dramaturgów, niestety, nie zdołały dotąd podać wiernie rysów duchowego oblicza tego dziewczęcia-rycerza. Ludzie nie owej epoki, którzy o niej pisali, mierzyli ją miarą pospo-

litą czasów późniejszych i barwami swej fantazji zatarli prawdziwość jej rysów.

Doraźnych czynów poświęcenia i cierpień, i strat, i boleści, i łez kobiet naszych w owych czasach nikt nie zliczy, wsiąknęły one w przeszłość... Któż dziś obliczy, kto opowie, ilu rannych ocaliły drobne dłonie niewieście, podczas doby walk beznadziejnych, ilu ich wywiozły w lasy, ukryły w niedostępnych matecznikach puszczy litewskich?... Któż dziś zmierzy ilość stoicyzmu matek, żon i dziewcząt polskich, patrzących na rany ciężkie, na oderwane szczątki ciał potarganych, które ułoża cierpień nie tylko okazywały słodycz siostry miłosierdzia, ale męstwo męczennicy; gdyż wróg, napadając na szpitale improwizowane, zabijał rannych, mordował i lekarzy i pielęgniarki. Praca nad przygotowaniem rekwizytów wojskowych niekiedy narażała niedoświadczone młode dziewczątka na śmierć lub kalectwo. W Krakowie dnia 7 sierpnia 1863 roku, wybuch prochu w kamienicy pod Nr. 283 przy ul. Szewskiej, pozbawił życia kilka młodziutkich dziewcząt, pracujących nad robieniem ładunków dla powstańców. Jesteśmy w możności zapisania tylko jednego nazwiska z ofiar tego wypadku, 17-letniej Marji Wiatrowiczówny.

Były i takie, co chętnie krew własną przelewały, by ocalić bodaj jedno życie zagrożonego bojownika o wolność... Dajemy jeden z przykładów. Do dworu pewnego ziemianina litewskiego przywieziono ранnego powstańca, lecz wnet potem wpadło wojsko nieprzyjacielskie. Ранnego ukryto w piwnicy; krew

wszakże z ran zdradziła go; domagano się natychmiastowego wydania. Wówczas młodziutkie dziewczątko, słysząc to w drugiej izbie, zadało sobie nożem kuchennym ranę w rękę i rzekło do wroga: „to krew moja... ja się skaleczyłam przypadkiem“.

.....

Nie poruszamy tu dziedziny cierpień kobiet naszych, tracących wówczas swych najdroższych, dziedziny boleści żon, matek, siostr; nie mówimy o znęcaniu się nad naszymi niewiastami, smaganych różgami w izbach inkwizycji, w więzieniach, wystawionych na tysiączne prywacje w ziemi wygnania; nie mówimy o dziedzinie bólu bezbrzeżnego, który przenikał prostacze a kochające serca mnóstwa matek z zaścianków litewskich i żmudzkich — z Ibian, z Jaworówki, ze Szczuk i z innych osad, spalonych z rozkazu Murawjewa — pędzonych na Sybir całemi rodzinami. One znaczyły swój pochód żałobny mogiłami drobnych dziątek... To inna dziedzina... Tu staraliśmy się dać drobny tylko szkic udziału kobiet naszych w owej pamiętnej walce o niepodległość, wskazać, iż obok dłoni męskiej i dłoni niewieścia spieszyła do pracy wyzwolenia... obok pokoleń męskich i niewieście zapełniły przestrzenie Sybiru.

Pobieżny to zarys: składamy go jako świadectwo dziejowe na grobach pokolenia, już w znacznej części wygasłego, jako hołd uwielbienia dla babek i prababek dzisiejszej polskiej kobiety, która oby pamiętała, iż w tych mogiłach niewiast 1863 i 1864 roku, spoczywa najpiękniejszy kwiat narodu.

Kraków, w styczniu 1913 roku.

NIEZAPOMNIANE ROCZNICE.

5 sierpnia 1864 r — 5 sierpnia 1914 r. — 5 sierpnia 1915 r.

„„Cokolwiek zejdzie na przyszłości grzędzie,
Kwiatami hołdu dla was kwitnąć będzie“.

Niedawne to stosunkowo czasy, gdy znaczna część Polski, podczas ostatnich usiłowań swego wyzwolenia się z pod jarzma Moskwy, krwią w roku 1863/64 spłynęła. — Mało co więcej niż pół stulecia od owej doby ubiegło, a jednak xięga tych dziejów, kreślonych łzami, kurzem bojowym, dymem pożogi miast, wiosek i zaścianków na Litwie, Żmudzi i Podlasiu, odbijająca na swych kartach echo bezbrzeżnego bólu, który wzbijał się ku wyżynom z cichych osad wyrzynanych przez wroga, z Suchedniowa, z Tomaszowa Ordynackiego — xięga ta dziś prawie nie do odczytania... Zbladły głoski, zatarły się wyrazy... Co dziwniejsza, co smutniejsza, brak usiłowań, zmierzających do odczytania umiętnego, sumienne-

go... Tradycje ówczesnych pokoleń zamarły w głębi grobów; późniejsze pokolenia, wychowane w innych warunkach, w atmosferze przesiąkniętej wrogiemi wpływami, nie mogły, po części nie umiały przecho-
wać owych nici, wiążących przeszłość z dniami póź-
niejszymi.

Tak płynęły lata długie, a liczne i smutne po powstaniu styczniowem. Płynęły wśród ciszy śmierci. I zaczęły się ukazywać na obliczu społeczeństwa znaki nie letargu, ale zgonu.

Weszły na arenę życia w niektórych dzielnicach takie żywioły, dla których niewola ducha i ciała prze-
stała być rzeczą rażącą i sromotną; łącno naginali swe szyje do łańcucha jasyru; wróg zabierał im całą dziedzinę ducha, pozwalał wszakże powiększać dobrobyt, wśród którego ich serca zastygły, myśl zaś coraz bardziej ku Wschodowi się zwracała... Tryumf wroga, zdawało się, był zupełny; widział bowiem swo-
bodnie, że stał się nie tylko panem ziemi i ciał na-
szych, ale posiadał dziedzinę ducha naszego...

Pracowała Moskwa na ów tryumf długo, lat prawie pięćdziesiąt... Siew zagłady niezupełnie szedł na marne.

Rozpoczęła pracę przy skrzypie szubienic, na obszarach zniszczonych, wyludnionych, do których rusyfikacji przystąpiła z całą bezwzględnością. Zwycięzca przygniatał zbrojną stopą obalonego zwy-
cięzonego.

Już w połowie kwietnia 1864 roku powstanie najzupełniej wygasło. Po piętnastomiesięcznych wal-

kach, niezmiernych wysiłkach, po wielkiem przelewie krwi na przestrzeniach od Prosny i górnej Wisły aż ku Dźwinie, Polska wycieńczona, łudzająca się i łudzona, iż obca pomoc może jej nadejść — a nie nadeszła — w tych mocowaniach się upadła... Była chwila zainteresowania się wielkiego naszymi usiłowaniami, tą walką beznadziejną narodu ujarzmionego, zainteresowania się ludów i rządów Europy. Ludy obce wołały o pomoc czynną dla nas i słały swych synów, jako ochotników, do powstańczych szeregów; rządy wystąpiły z interwencją dyplomatyczną, która, niepoparta orężem, owoców nie przyniosła.

Jednocześnie siły nasze, środki i poprzednia energia upadać zaczęły, wyczerpywać się gwałtownie, a również i nadzieje, na obcej pomocy oparte, znikły. W osiem dni po wielkiej katastrofie w Warszawie, jaką dla powstania było uwięzienie Traugutta, a zarazem zburzenie resztek rozsypującej się w gruzy machiny administracyjnej insurekcji — książę Władysław Czartoryski, agent polityczny powstania przy dworach francuskim i angielskim, usłyszał z ust Napoleona III, że Polska odtąd nie może liczyć na pomoc Francji... Obecnie rzeczy się zmieniły — mówił monarcha, ówczesna wyrocznia Europy — krew, która dzisiaj leje się w Polsce, jest zupełnie bezpłodną...

Działo się to 18 kwietnia 1864 roku, w chwili, gdy już krew ta była na wyczerpaniu: oręż wytrąciła przewaga rosyjska, krwi więcej już na

placach tracenia płynęło i w strasznych inkwizycjach więzień moskiewskich, niż na polu walk.

Od dnia owej audjencji xięcia Władysława Czartoryskiego u cesarza Francuzów, wszelkie nadzieje obcej pomocy zniknęły, ale jeszcze jedna potęga głos zabrała, jedyna, która wśród gabinetów państw chrześcijańskich, obok Turcji, ani w XVIII wieku, ani później nie uznała faktu rozbioru Polski — był to głos Stolicy Apostolskiej.

Ówczesne milczenie Europy, w owej chwili rozpoczęte, a mające trwać lat kilkadziesiąt, przerwał dnia 24 kwietnia Pius IX swem przemówieniem publicznem, w kaplicy Propagandy... Nie nawoływał on do pomocy — byłoby to zapóźno, lecz wskazywał na cierpienia naszego narodu i z naciskiem zaznaczał dążność Rosji do zniszczenia katolicyzmu.

„Uroczystość dzisiejsza (był to dzień św. męczennika Fidelisa) przypomina mi — mówił papież — że za dni naszych są również męczennicy, cierpiący i umierający za wiarę. Dusza moja ścieśniona jest srogim niepokojem, za sprawą potężnego monarchy niekatolika. Monarcha ten używa całej potęgi swojej, aby zniszczyć prawdziwą wiarę, a bierze za pozór powstanie, które zgnieść zamierzył...” Tu, w dalszym ciągu przemówienia, Pius IX wyliczał wszystkie ciosy, jakie spadać już zaczęły na Polskę, przewidywał jeszcze większe; może przed jego wzrokiem przesunęły się obrazy owej martyrologji ludu na Podlasiu i w ziemi

Chełmskiej, która po kilku latach miała się rozpocząć, i zakończył wezwaniem do modlitwy „za te liczne, a nieszczęśliwe rodziny, co na wygnanie idą w strefy północne, podczas gdy ich dobytek i ziemię rozdają cudzoziemcom“...

Potężny głos bezbronnego starca wzniósł się ponad Europą, zaczynającą już zapominać o kwestji polskiej, budzącej przed kilku miesiącami niezmierny entuzjazm, i jedyny był to już wówczas głos, żądający od rosyjskiego władcy rachunku z krwi polskiej... Inni milczeli... Pius IX wnosił pierwiastek, przeważnie nieznany dyplomatom i gabinetom — pierwiastek chrześcijańskiego sumienia.

Wyraźnie zaznaczył w owej pamiętnej allokucji, że „sumienie nie pozwala mu milczeć“, aby „w dniu sądu nie miał powodu stosować do siebie tych strasznych słów: „Vae mihi, quia tacui“... (Biada mi, bo milczałem).

Głos ten brzmiał niby w pustyni — nigdzie. echa nie znalazł. Rozlegał się i ponad Polską, zamienioną w jedną wielką ruinę. Nie budził otuchy, gdyż o zbrojnym oporze nikt już nie marzył. Zupełny pogrom powstania stał się faktem dokonany... Jeżeli jeszcze tu i ówdzie błąkały się małe grupy lub jednostki zbrojne, nie był to już ruch powstańczy, ale ludzie, szukający ocalenia,

Rosja na całym obszarze ziem polskich tryumfowała, zwycięstwo swe znacząc mnóstwem szubienic, wznoszonych w miastach i miasteczkach

tysiącem okrucieństw, obmyślaniem środków przekształcenia ziem polskich na Rosję, zamiany duszy polskiej na rosyjską... Tak. Wróg ten przemózny nie poprzestawał i nigdy nie poprzestaje na samym zaborze ziem, lecz stara się ujarzmić ducha pokonanego narodu, niszcząc jego kulturę, wydzierając z serc i umysłów. wiarę, zaszczipiając pragnienia wyłącznie materialistyczne. Schlebienie instynktom najbardziej poziomym stanowiło wielokroć broń zaborców i niszczycieli wszelkiego duchowego dorobku ludów podbitych...

Tego rodzaju exterminacja, rozpoczęta wnet po upadku powstania styczniowego, trwała w ciągu dziesiątków lat i, niestety, nie pozostała bez następstw. Proces zagłady naszego narodu, przekształcenia go na naród inny, był prowadzony wytrwale na różnych drogach przez Rosję. Przystępowano do tej, wszystko niwelującej, roboty, już w dniach kończących powstanie; jeszcze krew nie oschła na palach, przy których rozstrzeliwano powstańców, jeszcze trawa nie okryła kobiercem zieloności mogił w głębi lasów, jeszcze powrozy kołysały się u szczytów szubienic, a już z dalekich obszarów Rosji napływały tłumy działaczy rosyjskich, niby ptactwo na łatwy żer na pobojuwiskach... Żer, zaiste, był obfity, wystarczył na lat pięćdziesiąt i starczyłby prawdopodobnie na drugie pół wieku...

.

U początku nowego okresu robót niszczycielskich, burzenia dorobku cywilizacji starej nad

Wisłą, uchwaliła Moskwa święcić wielki tryumfu dzień, tryumfu, co jej nie tylko zapewniał ustalenie się u granic środka Eropy, lecz odmykał bramy do wnętrza starego lądu, do ognisk kultury chrześcijańskiej, którą prędzej lub później mogłaby zniszczyć, gdyż to, wedle jej pojęcia był „zgniły Zachód“...

Dzień tryumfu nad powstaniem polskiem, utożsamionem we krwi i pożodze, miał dla Rosjan znaczenie wielorakie: powinien był wskazać, iż naród polski od-tąd ma być wytepiiony i zarazem, że się stało nader mocną stopą u bram europejskiego Zachodu, który prędzej lub później równemu ulegnie losowi.

Tryumf postanowiono urządzić na sposób sobie właściwy; — wzniesiono w Warszawie szubienicę, na której miano zniszczyć pięć istnień ludzi szlachetnych, zniszczyć w godzinach południowych, by miasto całe mogło ów tryumf oglądać, zniszczyć wśród świetnej dekoracji mundurów wojskowych i cywilnych władz rosyjskich, przy dźwiękach orkiestr i tręb wojskowych.

Dzień 5 sierpnia 1864 roku stał się owym dniem tryumfu Rosji. Pięciu męczenników sprawy narodowej, sprawy walki o wolność i niepodległość Polski, miano w owym dniu stracić. Nazwała Moskwa tę egzekucję, przeprowadzoną z wielką uroczystością, straceniem Rządu Narodowego, powstańczego.

Dzieje powstania styczniowego mówią nam, że w ostatniem półroczu walki wcale nie istniał

żaden Rząd Narodowy kolegjalny; naczelna władza spoczywała w ręce jednego człowieka, posiadającego atrybucje dyktatorjalne, acz tytułu tego wcale nie używano. Był nim Traugutt, rzeczywisty, tajemny dyktator powstania, od października 1863 do kwietnia 1864 roku, jednak bez tej nazwy. Dla Moskali wszakże publiczne stracenie owego „Rządu Narodowego“ w osobie jednego człowieka zdawało się niewystarczającym. Postanowiono dodać do tej jednej ofiary jeszcze cztery inne, mniemając, że większa ilość osób jednocześnie straconych jako „Rząd powstańczy“, większe na tłumie robi wrażenia i przekona, że już cała ta władza tajemna, której kraj tak długo ulegał, wykrytą i doszczętnie zniszczoną została..

...Dowolność, jak w wielu czynnościach, tak i w tym razie tu rozstrzygała. Wiadomości, posiadane przez komisje śledcze rosyjskie, bałamutne były i wielokroć sprzeczne: fantazja uzupełniała niewiadomość i braki. Przypuszczenia i wyobrażenia komisyj śledczych wytworzyły również wielu dygnitarzy w organizacji powstańczej, jak i owych czterech domniemanych członków Rządu Narodowego, których dano Trauguttowi za towarzyszy męczeńskiego zgonu, kreowały władze rosyjskie wedle własnych domniemań.

Byli to mężowie pod wielu względami niezwykłej miary, postacie piękne, nader poważnie na obowiązki wobec kraju patrzące, ludzie wielkiego poświęcenia, lecz w żadnym okresie powsta-

nia nie zaliczający się do członków Rządu Narodowego, instytucji najwyższej w tej misternej, a skomplikowanej budowie władz powstania styczniowego.

Jaka panowała dowolność we wskazywaniu przez Moskali stopni, rzekomo zajmowanych w organizacji, i w ferowaniu wyroków na ludzi, stojących nawet zdala od udziału w powstaniu, jaskrawym dowodem zaoczne osądzenie i skazanie na powieszenie xiędza Albina Dunajewskiego, późniejszego biskupa krakowskiego i kardynała, a wóczas regensa seminarjum duchownego w Warszawie... Nie należał on wcale do organizacji, nie brał najmniejszego udziału w powstaniu i na początku 1864 roku opuścił Warszawę, niemniej osądzono go zaocznie, jako rzekomo dyrektora wydziału spraw zagranicznych w organizacji narodowej, i gdyby nie jego wyjazd do Krakowa, tudzież opór władz austriackich, które go nie chciały wydać Rosji, byłby stracony z Trauguttem, którego nie znał, o którym zaledwie może coś niecoś słyszał...

W przededniu owego dnia tryumfu, mającego się odbyć 5 sierpnia, ukazał się w dziennikach warszawskich, a wnet potem we wszystkich oficjalnych gazetach całej rosyjskiej monarchji, obszerny komunikat urzędowy, donoszący o wykryciu wszystkich gałęzi organizacji powstańczej i o wyrokach na jej członków. Piętnastu skazywano na śmierć; pięciu miano stracić nazajutrz, a dla pozostałych w drodze łaski zamieniono w ostatniej chwili szubienicę na katorgi.

Rzeczony komunikat stał się niejako hasłem dla Warszawy, iż się stawiała w liczbie kilkunastu tysięcy na wielkiem błoniu, oddzielajacem miasto od cytadeli. Tłumy ludzi różnego stanu ciągnęły nazajutrz od wczesnego poranka na owo pole śmierci, gdzie miał się odbyć dzień tryumfu dla Moskali, a dla Warszawy dzień pogrzebu wszelkich nadziei.

Walka już była zagasła, ale nastrój Warszawy ówczesnej jeszcze żył. Wskazywały to tłumy, zalewające, tak zwany, stok cytadeli, tłumy nie ciekawością spędzone; sprowadziła je żalność głęboka, przejawiająca się w ich łzach, w jęku niewiast, w ponurym spojrzeniu mężczyzn. . Wojsko nader wczesnie otoczyło stos ofiarny pięciu istnień ludzkich. Była to wielka szubienica, wzniesiona mniej więcej w tem miejscu, gdzie obecnie znajdują się zabudowania dworca Gdańskiego, prawie wprost fortu Aleksiejowskiego.

Pospolicie tracenia odbywano wtedy w godzinach bardzo wczesnych, lecz tę uroczystość, stwierdzającą niejako ostateczne unicestwienie idei wolności i niepodległości Polski, przesunięto na godziny późniejsze.

Dzień był piękny, pogodny, ciepły ów niezapomniany 5 sierpnia. Mgły poranne, skupiające się nad Wisłą, rozproszyły promienie słońca i gdy już ostatnie smugi mgły znikły, z poza murów cytadeli ukazał się ponury korowód. Na czele jechał na koniu kat, za nim, w otoczeniu konnej żandar-

merji z obnażonemi szablami, postępowało powolnym krokiem pięć wózków jednokonnych, używanych zwykle do wywożenia śmiecia; na każdym z nich jechał skazaniec z odkrytą głową, wraz z zakapturzonym zakonnikiem, kapucynem. Po obu stronach orszaku postępowały zbrojne szeregi piechoty.

W tym porządku, w jakim umieszczono nazwiska skazanych w wyroku, w jakim ich prowadzono na rusztowanie, w tym samym porządku ich wieziono na stracenie... Jechał więc na pierwszym wózku Romuald Traugutt, tajemny dyktator, ze swym spowiednikiem, O. Serafinem; dalej Rafał Krajewski, dyrektor wydziału spraw wewnętrznych, a towarzyszył mu spowiednik, O. Felix; wreszcie Józef Toczyski, dyrektor wydziału skarbu, Roman Żyliński, naczelnik poczt i ekspedytury i Jan Jeziorański, który zaledwie parę tygodni sprawował funkcje po Żylińskim i, jako urzędnik w zarządzie kolei żelaznej, był naczelnikiem organizacji dróg żelaznych, śmierć ponosząc mniej za winy własne, których było niewiele, niż za zachowanie się kolei warszawsko-wiedeńskiej i bydgoskiej, będących na usługach powstania.

.....
U stóp rusztowania nasi „morituri“ stanęli wobec świetnego orszaku generalicji i władz rosyjskich... U stóp tej polskiej Golgoty spotkały się dwa światy, tak bardzo różne: świat chrześcijański, świat zachodniej cywilizacji, walczący o wolność

sumienia, wolność wiary, wolność rozwoju myśli i zachowania swych właściwości narodowych — to nasi skazańcy; a tuż obok, przyodziany w pełne blasku mundury, orderzy, świat inny — słudzy i niewolnicy caratu, świat wschodni, wychowany od wieków w niewoli ciała i ducha, dla którego szlachetniejsze porywy myśli, uczucia, płynące z nauki Chrystusowej, były i pozostały obcemi... Dwa te różne światy i dziś, po upływie pół wieku, nie zmieniły oblicza swego. I dzisiaj lepsze jednostki narodu naszego dążą do zastosowania zasad moralności osobistej do postępowania całego narodu, i teraz wierzą, iż miłością można zwyciężyć wroga... Nie próżne to moje słowa. Rafał Krajewski, idąc na śmierć, mówi do swego spowiednika, że boleje nad Moskalami „iż się tak hańbią, tracąc ich“, a gdy opuszcza swą celę więzienną powiada do oficera moskiewskiego, który był jego więziennym strażnikiem: „w panu chcę uściskać Moskala, a pan nazwiskiem swoim go przedstawiasz“... podał mu rękę i uściskał go, sądząc zapewne, iż to miłości chrześcijańskiej ziarno, rzucone na glebę rosyjskiej duszy, wyda z czasem owoc, godny chrześcijańskiej cywilizacji... Niestety, na tej opoce kwiat miłości bliźniego urósł, nawet dotąd, nie zdołał. Po pięćdziesięciu latach, gdy Rosjanie zniewoleni zostali pod naciskiem obcego oręża do opuszczenia ziem polskich, pożogę szerzyli wśród wiosek i miasteczek naszych, podpalali i umyślnie tratowali pola zieleniące zbożem, a na wzór mocarzy starożytnej Asyrii lub Babilonu, wy-

pędzali w głąb swych rozległych krajów setki tysięcy ludności polskiej na głód, na zatracenie...

Rezygnacja, powaga, spokój, z jakim te ofiary tryumfu rosyjskiego szły na ów stos śmiertelny, budziły podziw nawet u wróga. Boleść indywidualna, iż tak nagle zrywają się nici ich życia, wiążące te szlachetne dusze z ziemią, z rodziną, jest im obcą, boleją jedynie boleścią narodu, myśl ich sprawdza, czy dopełnili swych wszystkich obowiązków wobec Ojczyzny. Widzimy to wyraźnie w tych kartkach Rafała Krajewskiego, które z więzienia zdołały się przedostać do rodziny, w pożegnalnym liście do matki, siostr, braci, Romana Żulińskiego:

„Czegom nie dopełnił—pisze on do rodziny—wy, najdrożsi, i dziatki wasze cnotliwem i wedle Boga życiem dopełnijcie. Tego rodzaju związek mój z wami røzerwany nie zostanie“...

Kapłani, towarzyszący naszym straceńcom w podróży na stos ofiarny — acz nie po raz pierwszy pełnili ów smutny obowiązek — strwożeni byli, „bo to wyczekiwanie jest straszne i wyczerpujące; mnie łzy w oczach stawały — opowiadał później O. Felix — ale oni spokojni, a patrząc na Rafała (Krajewskiego) krzepilem moją odwagę“..

Podczas długiego czytania wyroków, skazani z cicha rozmawiali ze swymi spowiednikami, a myśl ich biegła z tej ziemi, zbroczonej krwią i oblanej łzami, ku życiu innemu, którego bramy przed nimi się otwierały...

Rafał Krajewski stał obok Traugutta, oni jedni bliżej z sobą się znali z pośród grona traconych — Toczyski mniej znał Traugutta, a dwaj pierwsi rozmawiali z sobą wzrokiem i po chwili ich dłonie z sobą spotkały się w uścisku przedśmiertnym. Uścisk to był, jak ojca z synem; Krajewski bowiem, podczas ostatniej doby życia, w rozmowie pożegnalnej z siostrami, tak się wyraził: „Mój los wcale nie jest nieszczęśliwy; dziękuję za niego Bogu, bo jakież to zaszczyt dla mnie ginąć razem z Trauguttem; to święty człowiek! Ja go czczę więcej, niż ojca, to drugi Kościuszkó! Gdybym go jeszcze tu zobaczył, tobym mu się do nóg rzucił. Ja z nim umieram; drugi po nim — to prawdziwe szczęście.. Chciałbym tylko, żeby już nikt po nas nie ginął na szubienicy... bo zawsze to smutno ginąć z ręki ludzkiej“...

...Długie wyroki odczytano; wojska sprezentowały broń; a ręce oprawców narzuciły na swe ofiary białe opony i wprowadziły je na rusztowanie... Z całym spokojem „morituri“ wzięli na siebie te białe szaty, w których mieli przejść do wieczności; rąk im nie wiązano, prawdopodobnie przez zapomnienie. Toczyski ucałował sznur, którym go miało udusić, wskazując tem samem radość, że ginie za wolność Ojczyzny... Traugutt ręce złożył, jak do modlitwy, podniósł je w górę i w tej pozycji pozostał, wzniosłszy oczy ku niebu, modląc się za oprawców ziemi ojczystej i błagając Wszechmocnego o jej wyzwolenie...

Gdy ta biała, szczupła postać Traugutta, a wnet i inne cztery zawisły w powietrzu, z tysiąca piersi, niby pomruk burzy, rozległ się jęk żałosny ludu, fala głów zakolysała się i owe niezliczone, tłumy padły na kolana... Orkiestra wojskowa na dany znak marszem tryumfu starała się zagłuszyć ten jęk żalu.

Chwila to była pełna grozy... Warszawa ją odczuła głęboko; miasto w owym dniu stało się niby wymarłem, cichem i pustem.

Nieznaniem pozostało miejsce pogrzebania zwłok w jednej z fos cytadeli owych pracowników na polu wyzwolenia Ojczyzny i wyznawców wiary w jej niepodległość. Przyszłość jednak uczci to całe błonie, jako święte miejsce narodowych pamiątek.

Moskale, pragnąc własnemu rządowi, a zarazem i Polakom, okazać, iż cała wyższa organizacja w stolicy już zupełnie wytępiona, urządzili w pięć dni po 5 sierpnia rodzaj publicznego korowodu tych, co zajmowali wyższe stopnie w szeregach biur Rządu, a wtedy nie zostali straceni... Było ich ośmiu, którym zamieniono szubienicę na katorgę syberyjską. Pospolicie wyprawiano w nocy takich skazańców na Sybir; tym razem zmieniono regulamin. Wprawdzie o świcie odczytano im wyrok i wyprawiono z murów więzienia, lecz na placach cytadeli, u bram i na jej stokach, tak długo ich zatrzymywano, dodawszy do tej szczupłej liczby kilkudziesięciu skazanych powstańców z różnych miast królestwa, iż kiedy wprowadzono do miasta

całą tę gromadę, były już godziny poranne, ruch w mieście ożywiał się.

Niezwykły widok prowadzonych do miasta w dzień skazańców ścigał na ulice liczne rzesze ludności. Objętych wyrokiem sprawy Rządu Narodowego starano się ustawić oddzielnie, u czoła posuwającej się powoli grupy skazańców... Tak przeszli przez ulice Freta, Podwale i stanęli całą falangą na placu Zamkowym, u kolumny Zygmunta: tam na dłuższą chwilę ich zatrzymano, niby pod pręgierzem... Był to niejako epilog tryumfu zwycięzców, zarazem ostatnia karta epilogu powstania. Nie można bowiem nazwać samochwalstwem Rosjan, iż cała budowa władz powstańczych została już wówczas doszczętnie zburzoną, powstanie zaś nie istniało... Resztki wyższych szczebli organizacji naczelnej powstania pokazywano ludowi, jako dotykalny owoc zwycięstwa, jako łup zdobywczy.

Pobudzić chciano ciekawość tłumów stolicy, obudzono jedynie nieukożony ból. Ze łzami lud patrzył na nową milczącą demonstrację władzy rosyjskiej, ze łzami odprowadził cały ten ponury korowód wygnanców na Pragę, do dworca kolei Petersburskiej, gdzie zaległ duże przestrzenie wydmy piaszczystych, okalających wówczas dworzec, i gdy dano sygnał odjazdu pociągu, olbrzymim jękiem zegnał ich tłum... Tak Warszawa w sposób serdeczny i żalorny rozstawała się z ostatnimi pracownikami organizacji narodowej.

. . . ✓

Upłynęło lat pięćdziesiąt; doba długa, a dziwnie ciężka w życiu porozbiorowem naszego społeczeństwa.

Rosja robiła wszystko, co mogła, dla ujarzmnienia ducha, dla spaczenia umysłów polskich, dla zatarcia wszelkiej tradycji dziejowej, dla zwrócenia myśli ku wschodowi. Różne czynniki naszego życia, może bezwiednie, wspierały jej zabiegi; gdyż nawet prasa polska warszawska ciągle wskazywała na to, co za Prosną lub za Drwęcą złego się dzieje, nie wspominając oczywiście nie tylko o tem, co dzieje się z ręki moskiewskiej nad Wisłą środkową, Bugiem, Wieprzem lub Niemnem, ale nawet milczała o Warszawie. Za używanie mowy ojczystej w gmachach szkolnych rozlegał się świst bota rosyjskich pedagogów, ćwiczących polskie dzieci w Warszawie, ale prasa tameczna tego bliskiego jęku zdawała się nie słyszeć, wciąż wskazując na dzielnicę zachodnią. Tak się rzecz działa i z innemi ucisku objawami. Kajdany, acz głęboko wżarły się w organizm społeczeństwa, przestały mu ciążyć — organizm długiem cierpieniem był znieczulony. Długa niewola wyrobiła przeświadczenie, że się jest stworzonym do bytu w upodleniu i zależności... Świetne tradycje dziejowe zostały zatracone.

Nagle nadeszły chwile olbrzymiego znaczenia dla Europy, dla świata. Odezwały się na początku sierpnia 1914 roku pierwsze wstrząśnienia, zapowiadające burzę dziejową o niesłychanych rozmiarach.

rach... I oto w nocy z 5 na 6 sierpnia 1914 roku, w pięćdziesiątą rocznicę pamiętnego dnia traceniu pięciu przedstawicieli walki o niepodległość na błoniu warszawskiem, przez błonia krakowskie, w obliczu mogiły Kościuszki przesunęły się pierwsze szeregi młodzieży polskiej zbrojnej, niosąc w kraj hasła czynu zbrojnego, hasła dążności do wyzwolenia się..

Nieliczni już dzisiaj świadkowie i uczestnicy ciężkich zmagania się powstania styczniowego ze łą rozrzewnienia patrzali na te zawiązki Legjonów, na owo zmartwychwstanie idei wywalczenia niepodległości, za którą oni niegdyś oddawali życie, stawiając je, bądź pod kule moskiewskie, bądź pod powróż szubienicy.

Dzień 5 sierpnia 1914 roku, pomścił ów piąty sierpnia z przed pięćdziesięciu laty, dzień zgonu generała Traugutta i jego towarzyszy w męczeństwie, dzień wielkiego tryumfu Moskali.

.....
Jeszcze rok jeden upłynął.

Dnia 5 sierpnia 1915 roku Warszawa obudziła się bez pęt rosyjskiej niewoli... Bawarskie wojska weszły do jej murów... W pierwszej chwili nie zrozumiano doniosłości chwili dziejowej; ze szczytu katedry św. Jana nie zabrzmiał dzwon radości, ale zadrgały kości tych męczenników ofiarnych, których przed 51 laty, niemal w tejże godzinie, pogrzebała dłoń moskiewska w fosach cytadeli, zadrgały radośnie serca tych młodych, acz nielicz-

nych szeregów żołnierzy z konspiracyjnych organizacji niepodległościowych, których młody oficer I Brygady Legjonów, Tadeusz Żuliński*), wyprowadzał z murów Stolicy do obozu Legjonów pod sztandar Orła białego na pole krwi i chwały.

Opustoszała od Moskali ich świątynia w Warszawie wzniesiona na placu Saskim, jako symbol panowania nad nami; opustoszał moskiewski „klub myśliwski,” na tymże placu, gdzie cały szereg lat bratały się dłonie okrwawione ciemieżycieli naszych z niejedną polską dłonią, znieprawiając myśl i sumienie narodowe... Dwa te gmachy z epoki niewoli stanęły pustką. Lecz natomiast rozwarły się izby Kazimierzowskiego pałacu dla polskiej nauki, dokąd już dziś spieszą najmłodsze zastępy naszego społeczeństwa, by w źródle prawdziwej wiedzy — podanej uczciwą dłonią własnych mistrzów — obmyć ślady i naleciałości wieloletniej niewoli.

Kraków, w sierpniu 1916 r.

*) Porucznik piechoty, Dr. med. Tadeusz Żuliński, syn Józefa, bratanek Romana Żulińskiego, straconego w roku 1864, wprędce po wyprowadzeniu z Warszawy garstki młodzieży t. zw. bataljonu Warszawskiego, w pole, do obozu Legjonów, poległ w walkach na Polesiu Wołyńskim. Pamięci jego poświęcił jeden z przepięknych swych rozkazów dziennych, brygadjer Józef Piłsudski, ówczesny komendant I Brygady, duchowy przewodca całych Legjonów Polskich.

WIGILJA W DOMU NIEWOLI.

Dzięki niekorzystnym warunkom geograficznym ziemie polskie narażone były niemal ze wszystkich stron na najazdy nieprzyjacielskie. Najazdy Moskwy i tatarskie do najzgubniejszych zwykle zaliczano... „Czarny Szlak“, którym dążyły do nas klęski wielorakie, który był drogą najazdów Tatarzyna i różnych łotrzyków stepowych, który wprowadzał do nas morową zarazę, a wyprowadzał z szeroko rozwartych pól ziemi naszej tysiące i dziesiątki tysięcy branców na wieczne zatracenie, oddawna stał się przedmiotem opisów, treścią opowiadań.... Bywał tematem artystów, poetów, materiałem dla powieściopisarzy, dla studjów dziejowych badaczy.... O „czarnej“ tej drodze napisano całe zwoje papieru; o ciężkich stratach jasyru tatarskiego, niewoli tureckiej wyrzekań niezliczoną ilość spotykamy u dawnych i nowszych pisarzy; o innym zaś szlaku — o szlaku, prowadzącym do niewoli moskiewskiej, wyprowadzającym i w czasach odległych, i w nowych, i w najnowszych również tysiące branców — milczenie zupełne, najzupełniejsze...

Oprócz „Szlaku Czarnego“, przeszłość nasza posiadała, a teraźniejszość jeszcze posiada, drogę niemniej ciernistą, na której widziano tysiące liczne, bardzo liczne, ginące bezpowrotnie.

Droga ta prowadziła nie na zatracenie południowe, ale na wschodnie.... Nie na Wschód prze-strzeżeń bliższy, Wschód muzułmański, lecz na Wschód daleki, najdalszy moskiewski, niezabijający skwarem, lecz chłodem północy groźnej wiejący. Ile Wschód ten dalszy porwał, uniósł, zatracił, ile i dziś jeszcze zatracą — nikt nie obliczył i nigdy obliczyć nie zdoła.

Szli na owo moskiewskie zatracenie mężowie i niewiasty, szli zarówno ludzie dojrzały, jak i młodzież, dopiero wchodząca na niwę życia, szły pacholęta i dzieci. — Ciągniono również w pęta niewoli szlachcica ubożuchnego, jak i senatorów Rzeczypospolitej, kapłanów i biskupów. Żaden wiek, stan, nie był poza sferą tych klęsk. Smok niewoli porywał wszystkich.

Los pacholat-wygnańców najsmutniejszy, najcięższy. Pospolicie przeznaczeniem ich była zagłada zupełna: jeśli nie zgon, to moralny upadek. Z zastępów pacholat-wygnańców nie wracał nikt, a jeśli kto wrócił, innym wrócił. Duch dawny z ich piersi ulatywał... Ciało niekiedy długo żyli; inni to wszakże już ludzie, niczem do dawnych niepodobni.

Losy wyprowadzonych w głąb Moskwy pacholat wytwarzały obrazy nieskończenie smutne... Ścieżki ich istnienia prowadziły zwykle do mogiły

lub do moralnego upadku — trzeciego wyjścia nic życia nie znajdowała...

Wcześniej, niż można mniemać, rozpoczyna się wędrówka owych dzieci skazanych na zagładę. Porywano je już w XVII stuleciu, wraz z matkami i bez matek: za dni wojen Alexego Michałowicza porywano i uprowadzano w głąb ziem obszernego carstwa Moskiewskiego, by sprzedać je tam kupcom perskim, czy też innym kramarzom odleglejszego Wschodu... Wsiąkały nieustannie całe zastępy pacholąt w obcą glebę.

Później, w latach walk Barskich rycerzy, głośny wódz moskiewski, Drewicz, porywał i uprowadzał dzieci. Jednem z takich pacholąt, przez niego uprowadzonych był jakiś dwunastoletni Grabowski. Pamiętał on jedynie, że pochodził z Wielkopolski, więcej szczegółów o swem pochodzeniu nie zachował w pamięci i z biegiem lat, gdy zrobiono go oficerem, zupełnie się zrusyfikował... Po latach wielu, przybył na Wołyn, do Złotyjowa, pod Równem, z półkiem swym, w którym służył, przybył, jako człowiek najzupełniej obcy dla ziemi swej i kolebki dawnej, lecz ożenił się na Wołyniu z Polką i to go wstrzymało od powrotu do Rosji... Synem jego był chlubnie znany w literaturze naszej — Michał Grabowski. Coś on wszakże oddziedziczył z przekształconej duszy ojcowskiej...

Rok walki kościuszkowskiej, 1794, nie jeden zastęp dzieci wyprowadził od nas. Drobiazg mazowiecki popędzono wówczas tłumnie w głąb

mośkiewskiego państwa. Ile z tej cizby ocalało — Bóg chyba policzył. Modre oczy tego drobiazgu zamykały się szybko na zawsze. Snać raziała je potęga bezbrzeżnej niedoli, wśród której nagle stanęły... Główki malutkie chyliły się do snu wiecznego tak nagle, jak owe kwiaty łąk naszych, ścięte kosą wraz z zielskiem i chwastem.... Kości ich pozostały w ziemiach dalekich, mało zaludnionych, a ich duszyczki może nieraz przebiegały duże przestrzenie, dążąc na pola rodzinnego Mazowsza i krążyły nad duchem matek stroskanych...

Wogóle świat dziecięcy ulegał w pamiętnym roku walki kościuszkowskiej strasznym spustoszeniom. Gdy jedni targnęli się na dzieci, na ich swobodę i życie, inni nie wahali się wytwarzać dla siebie łupów nawet z ich zabawek... Julian Niemcewicz, więziony, jako jeniec z pól Maciejowickich, spotykał tabory łupów, wśród których oddzielny wóz był przeznaczony na zabawki dziecięce: wystawały z pośród rupieci koniki, trąbki, lalki... Niczem nie gardzono.

Uprowadzone wówczas dzieci, o ile nie wyginęły, wsiąkły najzupełniej w obce społeczeństwo, zatraciły język ojczysty, wyzuły się z wiary — i żadnej już odtąd nie miały — coś jednak w głębinach ich dusz pozostawało co w niektórych chwilach życia wybuchało z niezwykłą mocą, jako wspomnienie lat dziecinnych jako, odbłask uczuć przywiązania do swojskości, o których istnieniu same zapewne nie wiedziały...

To uprowadzanie dzieci polskich przez Moskali, z ziemi ojczyściej do domu niewoli, w epoce porozbiorowej kilkakrotnie powtarzało się i to w znacznych rozmiarach. Ku końcowi panowania Alexandra I, gdy lekka szata liberalizmu nieco usunęła się z ramion tego cara, Nowosilcow i jego satelici nie poprzestawali na ściganiu młodzieży akademickiej, wileńskiej, sięgnięto do szkół średnich, do dziatwy, chciano laurów w walce z pacholętami. Tryumf był łatwy... Procesy, wytoczone młodzieży starszej, miały wyniki mniej groźne, dzieciom zgotowano sroższe losy... Najokrutniejszą była epoka po powstaniu listopadowem, gdy na rozkaz Mikołaja I kilka tysięcy dziatwy z królestwa Kongresowego, pod pozorem, że są sierotami, wydarto matkom i ziemi ojczyściej — popędzono w głąb Rosji. Gościniec od Brześcia Litewskiego do granic Rosji właściwej zappełnił się masami ginącej dziatwy... Co nie zginęło wśród trudów wygnania, to wsiąknęło w społeczeństwo moskiewskie, zachowując niekiedy w głębinach swej istoty przekształconej jakiś słaby promyk przywiązania do swojskości, z której ich okrutnie wydarto...

Kto miał możność przebiegania wielkich obszarów Europy wschodniej lub Azji północnej, tych olbrzymich przestworzy niewoli i zatracenia, niejednokrotnie mógł spotkać, jeśli umiał patrzeć, typy tego rodzaju... Były to dusze prostacze, istoty o szczupłym horyzoncie myśli, mało świadome

swego pochodzenia, a jednak słowo polskie, pieśń polska, budziły w głębinach ich duszy dawno pogrzebane, rzekomo najzupełniej zatraczone wspomnienia i uczucia.

Dajemy tu mały odblask budzącego się świata wspomnień i drzemiących przez życia całe uczuć u jednej z takich nieszczęsnych istot:

... Podczas zimy, z roku 1863 na 64, gdy grupa wygnańców, uczestników styczniowego powstania, pędzonych z Wołynia na Sybir, w jednym z miast na stepach Kipczaku, podobno w Kozłowie, obchodziła wigilię Bożego Narodzenia w tamiecznym więzieniu, przypatrywał się i przysłuchiwał im zdala niepoczesny człowieczek — posługacz izb więziennych. Na jego twarzy zbiedzonej, zmęczonej życiem, przepełnionej nędzą i poniewieraniem wieloletniem, trudno było dopatrzyć się wyższej myśli.

Patrzył na tłum więźniów z ciekawością. Zdawał się być jedynie mocno zainteresowanym, ale obojętnym widzem, mało rozumiejącym, co go otacza. — Tak też było w istocie. Świat jakiś nieznanym, nigdy niewidzianym, przesuwiał się przed jego wzrokiem.... Stary, znędzniały człowieczek; im dłużej wpatrywał się, tembardziej znikła jego bezmyślna obojętność.

Więźniowie nie zwracali uwagi na milczącego świadka uczty wigilijnej, pamiątkowej, przenoszącej ich myślą z tego „domu niewoli“ do odległych zagrod ojczystych.... Gdy, po przełamaniu się

opłatkiem, zabrzmiała nasza prastara pieśń „W żłobie leży“, posłyszano łoskot i wielkie łkanie, niby płacz niemowlęcia...

Stary posługacz więzienny padł na ziemię, ze wzruszenia omdlały, i uderzył w płacz wielki. Przybiegli doń, chcieli go podnieść; on, nawpół leżąc, a nawpół klęcząc, płakał jak dziecko i powtarzał tylko dwa wyrazy: „Kolenda“ — „jeszcze kolenda“... „jeszcze... jeszcze“!...

Utulić, uspokoić go długo było niepodobna. Domagał się wciąż „Kolendy“... Ochocza młodzież wołyńska, zabrana z pola walki, pod Mińkowcami, pędzona na Sybir, chętnie zadość czyniła jego żądaniom: śpiewała „kolendę“ — on słuchał i płakał...

Próbował mówić po polsku, nie mógł... twierdził, że kiedyś umiał, dziś już zapomniał... Chciał się modlić i słów pacierza nie pamiętał—modlił się jeno łzami...

Był to Polak, ziomek owych więźniów, w dzieciństwie, kiedyś z Polski porwany i zapędzony do głębin moskiewskiego państwa i tam życie spędził. Skąd go i kiedy wzięto, dokładnie nie wiedział. Świat dawny, świat lat dziecinnych, zagrzebały rumowiska późniejszego ciężkiego życia... Pieśń kolendy, którą słyszał przed dziesiątkami lat, może jeszcze wówczas, kiedy siedział nawpół niemowlęciem na kolanach matki, obudziła świat pogrzebany: zmartwychwstałą przeszłość powitał łzami... wstrząśnienie tak było silnem, iż omdlał chwilowo.

Tchnienie przeszłości nadpływało gwałtownie, niby fala przyprływumorza, i owładnęło jego całą istotą...

ZE WSPOMNIENÍ KATORGI SYBERYJSKIEJ.

Świt dnia listopadowego 1865 roku długo nie nadchodził w dalekiej Daurji Nerczyńskiej. Nad szeroką białą, okrytą grubą warstwą śniegu, równiną nadrzeczną, unosiły się mgły mroźne i fale ciemności wytworzyły, fantastyczny obraz dla oka, któreby chciało sięgnąć dalej, niż o parę kroków. Zdawało się, że jest to przestrzeń bezbrzeżna, bezludna, pozbawiona wszelkich śladów życia...

W rzeczywistości było inaczej.

Przy blasku słońca krajobraz zarysował się jako dolina, dość wprawdzie szeroka, ale o wyraźnie wyrzeźbionych ramach: z jednej strony brzeg nie wyniosły, lecz stromy rzeki Ingody; dalej, w głębi, o jakie parę kilometrów, wzgórze, okryte lasem, a na pierwszym planie rzecz niezwykła, dziwna... Wielki czworobok, oparkaniony wysokim, mniej więcej na cztery, pięć metrów parkanem, z dylów mocnych, grubych.

Było to coś pośredniego między olbrzymią zagrodą na bydło, a jakąś forteczką malutką, stawianą niegdyś przez Moskali w głębi Azji środko-

wej na postrach lub dla obrony od napadów stepowych łupieżców.

Patrząc z daleka na ów czworobok, mocno wydłużony, o jednej bramie od strony rzeki, wydawał się on raczej pierwszą, niż drugą; był bardziej oborą, niż forteczką o pierwotnym typie fortyfikacyi koczowników. W rzeczywistości, wszakże odegrać miał rolę nie zagrody na bydło: ci, co wznosili ową oborę forteczną, wznosili ją nie dla bydła, ale dla ludzi... Dla ludzi ów czworobok nieco niby wzmacniano parkanem wysokim i strażą, aby owi ludzie nie rozbiegli się aczkolwiek same warunki przyrody — pustynia dokoła, brak zaludnienia — wskazywały, że ująć nie zdołają... Czworobok ten, oparzaniony i strzeżony, to była katorga moskiewska dla polskich skazańców z roku 1863 — 1864, a przestrzeń między nim a rzeką — to pole ich prac galernicznych... W chwili—o której mówimy— w zamknięciu tem liczono ich kilkuset. Wszystkie ziemie Polski poćwiartowanej mogły we wnętrzu czworoboku tego odszukać swoich synów. Dwa wyniosłe budynki koszarowe z bierwion olbrzymich sosnowych i modrzewiowych zbudowane, na przeciwnych krańcach czworoboku mieściły po paru-set wygnańców; że jednak wszyscy w tych drewnianych, obszernych, zimnych, ponurych, brudnych halach koszarowych zmieścić się nie mogli, polecono im, by dla siebie zbudowali ziemianki — małe schronienia, rodzaj piwnic, w większej części w ziemi zagłębionych i grubą warstwą ziemi okry-

tych... I to budowanie owych małych, ciasnych grobowców dla ludzi żyjących, przeważnie bardzo młodych, pragnących życia i uśmiechających się do radości życia — aczkolwiek im tę młodość zabrano — było ich pierwszą pracą w katordze...

Ci, co nie chcieli czekać na tak zwanych „narach“ koszar, pełnych robactwa i nie posiadali dostatecznych sił, by spieszenie sklecić dla siebie to nędzne w ziemi legowisko, kupowali dawne, tam istniejące ziemianki, pozostałość po uprzednich mieszkańcach. Dawniej bowiem mieściła się tam wojskowa mała osada, budująca statki do przewozu żywności na wybrzeża, jeszcze nieposiadające rolnictwa, w świeżo zajętych przez Rosjan ziemiach chińskich, na lewych pobrzeżach Amuru.

Posiadacz takiej ziemianki, pozbawionej wentylacji, pomimo jej ciasnoty, braku dostecznej ilości światła, uważać się mógł za szczęśliwego. Stokroć lepszym pobyt tam był bowiem, niż w koszarach, gdzie przy różnych ujemnych właściwościach samego mieszkania, znaczną część doby trwał gwar nieustanny, uniemożliwiający wszelką domową pracę.

Ja, wraz z dwoma kolegami, mogłem się zaliczać do tych szczęśliwych posiadaczy. Za siedm rubli, wspólnymi siłami zebranych, nabyliśmy wprzódce po przyjeździe ziemiankę, która po oczyszczeniu, wybieleniu wydawała się nam w stosunku do koszar apartamentem wspaniałym...

.

...W pewną noc listopadową — pierwszego mego roku życia galerniczego — kiedy świt dziwnie opóźniał się z nadejściem, z niepokojem wsłuchiwałem się w niezmierną ciszę, która panowała w całym wielkim czworoboku. Ciszy nic nie przerywało i przerywać nie mogło poza wnętrzem koszar i dachami ziemianek, okrytych nie tylko grubą warstwą ziemi, ale niemniej grubą powłoką śnieżną.

W polskiej wsi takiej ciszy nigdy nie spotykamy. Zawsze ją przerwie szczekanie psa, niekiedy ryk bydła, skrzypienie sań lub przed świtem da się słyszeć żóraw u studni, rąbanie drzewa i inne odgłosy życia budzącej się pracy wieśniaczej. Tu, wśród oparkanionego taboru galerników, była cisza grobowa i ten tabor, złożony z ziemianek, śniegiem okrytych, był niby wielkiem cmentarzyskiem, usianem wielkimi, białymi mogiłami... Nikt nie spieszył do życia, bo to życie zamierało. Wstawano nie do życia i pracy pożytecznej, a jedynie na odgłos bębna przerywano senne marzenia, przenoszące na chwilę do niepowrotnej przeszłości, do utraconego raju domowego i wstawano do pracy przymusowej, na niwie sobie nieznanej, więc nikomu pożytku nieprzynoszącej...

Sen od dawna odbiegł od moich powiek, nasłuchiwałem pilnie chrapliwego odgłosu trąby, która nas zwykle budziła i po której, w jaki kwandras, czy też nieco później, rozlegał się odgłos bębna, powołujący do robót... W owym czasie zimowym, gdy nawet przy najwyższym wysiłku pomysłowości

niepodobna tam było znaleźć pola do pracy pożytecznej — dla tak wielkiej ilości skazańców — powoływano nas do robót tylko trzy razy tygodniowo, dzieląc cały ogół skazańców na grupy wedle alfabetu, oczywiście rosyjskiego, wynajdując dla nich różne roboty najzupełniej bezcelowe.

Tym razem przypadek zrządził, iż rozpoczynano powołanie od pierwszych głosek alfabetu; na mnie więc kolej przypadała, należało być czujnym... Czekałem długo; żaden promień brzasku nie przekradł się do mego podziemia przez okienko z jednej tafli, o wielkości malej ćwiartki papieru... lecz trąba pobudkę zagrała. Po niej wkrótce zabrał głos bęben...

Nie pozostawał czas do namysłu, ani do rozpalenia ognia w izdebce, w piecyku piekarskim, i przygotowania bodaj kubka gorącej herbaty. Po chwili, odziany, o ile możność pozwalając, ciepło, obuty w pończochy, uszyte ze skóry z sierścią baranią, włosem do wnętrza, okryty płaszczem skazańca, ze znakiem czarnym na plecach, w obuwii katorżniczem, zwanem „brodnie“, wychodziłem śpiesznie. Za mną rozległ się cichy głos z przyległego o pół kroku legowiska:

— Co robisz? Po co w takie zimno idziesz?... Powiesz im, żeś chory...

Głos to był towarzysza losów i mieszkania, oddawna mi znanego, Stanisława Kietlińskiego, prawnika z Warszawy, człowieka o wielkiem, złotem sercu i wielce słabem zdrowiu.

— Iść muszę. Pójdę. Każdy z tych kielichów, co nam los podaje, wychylać należy do dna...

Pożegnałem go temi słowy i po kilku minutach już byłem u bramy więziennej, gdzie czytano listę katorżników, udających się na roboty i dzielono nas na grupy.

Mnie zaliczono do grupy, z trzydziestu kilku osób złożonej, którym rozdano kilofy i duże drągi żelazne. Wskazywało to, iż coś mamy rozbijać temi ciężkimi narzędziami, ale gdzie i co rozbijać, czy też wydostawać, nie mieliśmy najmniejszego pojęcia. Grupę naszą prowadził kozak, najniższej rangi oficer, nieokrzesany, lecz niezły człowiek, nazwiskiem Taskin. On i starszy odeń latami i urzędem, również oficer kozaków syberyjskich, Łytkin, tworzyli w danej chwili jedyną zwierzchność tej karnej osady. Pierwszy czuwał nad więźniami i ich katorżną robotą, drugi był dowódcą straży, złożonej z kilkudziesięciu zaledwie żołnierzy, od bardzo dawna w wojsku służących, kwalifikujących się raczej do służby pozafrontowej lub do zupełnego wypoczynku, a przytem źle uzbrojonych w karabiny skałkowe, nie do użycia... Był ich obu naczelnym zwierzchnikiem niejaki Markow, wojskowy wyższej rangi, noszący tytuł komendanta, od niedawna na tym stanowisku, ale niemieszkający stale w Siwakowej (była to nazwa naszej karnej osady). Przebywał on pospolicie w niezbyt odległym mieście, w Czycie, gdzie bawił się wciąż pijatyką i kartami, do swych zaś obowiązków wpadał

tylko na chwilę, co dni kilka, wpadał pospolicie nawpół pijany, ferował jakieś surowe wyroki, z powodu win niepopelnionych bądź urojonych, i znikał, by w dalszym ciągu bawić się w mieście. Ten Markow — „prawdziwy rosyjski człowiek” — panem był losów i życia kilkuset polskich skazańców, osadzonych na katordze w Siwakowej.

Przejsście od bramy więziennej do miejsca robót w owym dniu trwało niedługo. Szliśmy z oskardami i żelaznemi drągami szybko, mroz bowiem był silny. O kilkaset kroków od bramy więziennej, nad spadzistem wybrzeżem rzeki Inгоды, która jest macierzą wód słynnego Amuru, ustawił nas Taskin i odszedł, poleciwszy, abyśmy rozbijali zamarzę wybrzeże kilofami i rzucali bryły ziemi na lód, gdzie znówu inna grupa naszych galerników miała kruszyć wielkie bryły na miejscu, zapewne dlatego, aby ułatwić na następną wiosnę wezbrany wodom rzeki spławienie owych szczątków urwiska do Wschodniego oceanu.

Zadanie było dość ciężkie, gdyż narzędzia do rozbijania okazały się tępe, ziemia zaś zmarznięta, niby skała, a cała robota bezcelowa. Chodziło przedewszystkiem władzom, by Polacy katorznicy rzeczywiście pracowali, pracy zaś pożytecznej, szczególnie w miesiącach zimowych, nie mogli wynaleźć.

Pracowaliśmy dzień cały z rozmaitym, mniejszym, bądź większym wysiłkiem, z przerwą na

obiad, na który do naszych legowisk więziennych nas odprowadzano. Rezultat robót stosunkowo niezbyt pokaźnie się przedstawiał. Z oskardami, kilofami nie umiano się należycie obchodzić; niejedyn pierwszy raz w życiu miał z nimi do czynienia. Do takich i ja się zaliczałem. Kilof znany mi był głównie z sielanek Zimorowicza. Patrząc na wysiłki kolegów i własną marną robotę, przesuwali się mi w myśli wyrazy sielankarza lwowskiego: „jedni tłukli ciężkimi furtę taranami — niektórzy dziurawili ścianę kilofami”... Obchodzono się z narzędziami nieumiejętnie; ktoś skaleczył się oskardem, inni nie byli w stanie ani skutecznie „dziurawić” ziemi, ani też większy odłam wybrzeża na łód stoczyć.

Dzień zimowy wreszcie dogasał. Dozorcy robót na miejscu nie było. Miał przyjść ów chorąży kozacki, Taskin, który nas przyprowadził, i obejrzeć dokonane roboty. Nie nadchodził wszakże. Bez jego pozwolenia odejść nie mogliśmy. Niecierpliwiono się... Rozpoczynał się zmierzch. Zimno stało się zbyt dojmującym. Głód dokucza...

Zniecierpliwienie z szeregu skazańców przeszło do żołnierzy. Zbiedzeni i zziębnięci, gotowi byli co prędzej odejść, oczekiwano jedynie inicjatywy więźniów. W naszym gronie nie zdobyto się na taką inicjatywę; odpowiadało to najzupełniej psychice polskiego skazańca, który przeważnie umie znosić ze spokojem wszystkie następstwa surowych wyroków, nie targa krępujących go wię-

zów; osładza mu dołę, myśl o wielkiej idei niepodległości Ojczyzny, co przyświecała jego życiu... Moskiewska psychika tego nie posiada.

W ówczesnem jednak gronie pracujących nad „dziurawieniem“ wybrzeża, przypadek zrzucił, iż, oprócz Polaków, znalazł się jeden Moskal. Przypadek, powiadam, gdyż wśród „politycznych“ więźniów nie mieliśmy ani jednego politycznego skazańca Moskala. Przed niewiele dopiero tygodniami przywieziono i wśród nas osadzono jakiegoś rosyjskiego liberała, nazwiskiem Bołot, czy też Bołotow. Kto on był, skąd przybył i za co dostał się do katorgi, nikt nie wiedział i wogóle mało był znany. Otóż w owym dniu pracy nad wybrzeżem był ów Bołotow.

O zmierzchu powiał wiatr od wschodu, chmurny przez dzień cały horyzont nieco się rozjaśnił, gwiazdy zaczęły się ukazywać. Wówczas Bołotow, człowiek młody, lecz znacznej tuszy, o głosie donośnym, zawołał po rosyjsku, rzucając przytem parę przekleństw pod adresem wszystkich władz i urzędów państwowych, że już należy wracać do więzienia... Wezwanie o formie zbyt przekonywającej, a wypowiedziane w języku urzędowym, nie napróżno przebrzmiało. Znalazło echo w umyśle znużonych żołnierzy, tworzących naszą straż — oni pierwsi ruszyli, za nimi parliśmy wszyscy, na czele szedł ów Bołotow.

Zaledwie zrobiliśmy kilkaset kroków w tym powrocie do cieplejszych kątów naszych legowisk,

gdy z poza węgła jakiegoś budynku ukazała się znana twarz Taskina. Nim do nas doszedł, już się rozlegał jego głos gniewny.

— Co to? Bunt, bunt! Jak ośmieliliście się bez pozwolenia? Rozkazałem czekać, aż zobaczę, coście zrobili... Idźcie do kancelarji, tam zapiszę nazwiska buntowników...

Udaliśmy się więc do kancelarji, gdzie zapisano nazwiska nasze, poczem, mocno znużeni, wróciliśmy do swoich mieszkań, nie myśląc o tem, że to jeszcze nie koniec tej niespodzianej przygody, że sprawa ma być przedstawiona komendantowi, jak tylko nadejdzie.

Po kilku dniach, gdy siedziałem w mej ziemiance nad paru xiążkami, które jakoś szczęśliwie doszły do jednego z kolegów, w mej myśli kreśliłem plan napisania szkicu o historyku Długoszu, wpadł ktoś szybko do izdebki, wzywając mię do komendanta, który właśnie przyjechał i ma rozpatrywać sprawę samowolnego opuszczenia miejsca robót. — „Sprawie nadano cechę buntu (mia-tie-ż-a), komendant miał się wyrazić, że to jest wznowienie powstania“... dodał przybyły.

Po chwili, ubrawszy się, o ile się dało najcieplej, udałem się do biura komendanta. Był to domek ze szczupłym dziedzińcem, wysoko opar-kanionym. Na tem małym podwórku tłoczyła się gromadka tych współtowarzyszy, co udział brali w rabaniu zmarzłej ziemi na wybrzeżu i kilkunastu żołnierzy. Tłum wypełniał całe to małe obejście.

Kazano nam zgrupować się około ganku, a żołnierzom zbrojnym nas otoczyć.

Zmierzch już był zupełny; jedna tylko latarnia słabo oświecała dziedziniec i tłum skazańców, pełen zdziwienia i niejakiej trwogi, gdyż ów komendant dał się już poznać z postępowania więcej niż bezwzględnego, bo mającego w sobie coś z działania alkoholika.

Niezbyt długo czekaliśmy. Na ganku ukazał się mężczyzna z twarzą bladą, obrzękłą, z oczami zamglonemi, z surowym wyrazem ust, w ręce miał jakiś papier. Dwaj pachołcy trzymali mu przy twarzy świece, sądząc, że coś czytać będzie. Rozpoczął jednak pan naszego życia nie od czytania, ale od komendy. Zawołał: „Nabić broń!... Otoczyć dokoła buntowników... Jeżeli który z nich powie bodaj jeden wyraz, strzelać!...”

Rodzaj komendy wskazywał, że ma się do czynienia z człowiekiem mało orjentującym się lub zupełnie niepoczytalnym. — Żołnierze tworzyli koło na bardzo małej przestrzeni dziedzińca, gdyby więc wystrzelili, mogliby siebie samych wystrzelać, wraz z panem komendantem. Wszyscy jednak milczeli, a komendant papier rozwinał i, nieco chwiejąc się, wskazywał na coś palcem. Wreszcie padły wyrazy donośnie wygłoszone: było to pięć nazwisk: „Daszkiewicz-Korybut, Dąbrowski, Dubiecki, Dylewicz i Ostrowski”... „Wy, ludzie rozumni, przewódcy buntu, pójdziecie... tam”...

Nie dokończył, wciąż chwiejąc się na nogach,

podczas gdy ci, których mianował rozumnymi, zostali pod strażą uprowadzeni.

Poprowadzono nas do budynku szczególnego rodzaju, nazywanego „Katałaska“. Był to areszt dla pijaków kozaków. W rodzaju szopy zbudowany, miał w swem wnętrzu kilka celi — raczej framug lub szaf, płytkich, a wysokich. W każdej takiej szafie tkwił słup gruby. Więzień w postaci stojącej był doń przywiązywany. Największy nawet opój przywiązany do słupa, na zimnie, po dobie lub dwóch, wracał do przytomności i na pewien czas nie potrzebował wznowienia tego rodzaju kuracji. Nieprzywiązywani pozostawali w pozycji skurczonej dla braku miejsca. Nas nie przywiązywano...

Szafy te różnych były rozmiarów. Do nieco większych trzech więźniów zaledwie mogło się — zmieścić i to z wielką trudnością. Mnie z Dylewiczem, który był xiędzem ze Żmudzi, umieszczono w nadzwyczaj ciasnej klatce. Oprócz grubego słupa i podłogi, tudzież ścian z tarcic, nic tam, jak w każdej szafie, nie było. Pozostawała tylko jedyna możliwość — stać lub siedzieć ze skurczonemi nogami, o leżeniu na podłodze niepodobna nawet było myśleć, nogi bowiem za drzwiami by pozostawały. Umieściliśmy się więc w ten sposób, iż w pozycji siedzącej wytworzyliśmy z naszych nóg dwie linje przekątne, wzajemnie krzyżujące się, i tak wciąż pozostawaliśmy. W ościennej klatce — szerszej nieco zapewne — trzech inni towarzysze zamknięci

byli trzymani. Ściany z niezbyt grubych desek i nieszczelnie przylegających umożliwiały nam rozmowę z sąsiadami. Światła żadnego oczywiście nie było. Trwała przeto nieustanna ciemność w tej klatce. Dzień nie różnił się od nocy...

Tak przetrwaliliśmy trzy doby. Komendant, osadziwszy nas w szafie, odjechał do miasta i o nas zapomniał, czy też nie troszczył się; bez jego rozkazu nie można nas było uwolnić. Ale cała nasza kolonja katorżna bardzo się o nas troszczyła i mocno oburzała. Głównie w koszarach objawiło się szemranie, gdzie przeważnie mieszkali koledzy wieśniacy, z Królestwa, Kurpie i chłopci zmudscy; oburzenie przybierało tam znaczne rozmiary. W koszarach dla kolegów analfabetów urządziliśmy byli rodzaj szkółki. Gerwazy Gzowski — sybirak recydywista — i ja, uczyliśmy czytać, Tyc, litograf z Warszawy, pisać, a xiądz Seweryn Gergielewicz — z Płockiego — który po wielu latach w Krakowie, na stanowisku kapelana Wizytek, życie zakończył, wykladał katechizm. Stąd mnie mieszkańcy koszar nieco znali i moja przygoda budziła wśród nich wielkie współczucie.

— On tego nie wytrzyma... zamęczą go, zamrożą, zagłodzą... Wątki, jak patyk, podobno już chory — wołano...

A ten szmer, wzbierający coraz wyższą falą oburzenia, zaniepokoił zwierzchność więzienną, która, jak widzieliśmy, ani liczbą, ani inteligencją nie odznaczała się. Obawiano się silnej chłopskiej

pięści, koszary zaś, gdzie wszczął się huczek nie-mały, przedewszystkiem tę pięść silną reprezentowa-ły... Doszło, wreszcie do tego — w drugim, czy też trzecim dniu naszego uwięzienia — że tak zwa-ny „starosta“, t. j. przedstawiciel więźniów i po-srednik między skazańcami a władzą — piastował wówczas u nas tę godność Edward hrabia Czapski—wydawać zaczął biuletyny o mem zdrowiu, że żyję i na zdrowiu nie ucierpiałem. Biuletyny te przybijał na drzwiach koszar... Uspokojenie jednak dopiero wtedy nadeszło, gdy komendant, przybyw-szy z miasta, kazał nas uwolnić i zobaczono wszyst-kich, wracających w dobrym zdrowiu i usposobieniu.

Pamiętne te trzy doby przebyto w warunkach wyjątkowych, przy braku przestrzeni, powietrza, ciepła, światła i dostatecznego pokarmu — żywiono nas bowiem tylko chlebem i wodą — również zim-ną, jak gorącą — nie przeszły dla mnie bez pożytku. Xiądz Dylewicz, młody i gorącego patriotyzmu pol-skiego kapłan, opowiadał mi, w długich rozmowach, to o rozszerzeniu się styczniowego powstania na Żmu-dzi, to o głębokich uczuciach religijnych ludu żmudz-kiego, który najzupełniej poddawał się kierunkowi duchowieństwa, prowadzącego go do trzeźwości. Na cztery lata przed powstaniem żmudzki biskup ówczesny, Wołonczewski, rozpoczął bardzo ener-gicznie tam wojnę z pijaństwem i, przy pomocy swego kleru, przy ofiarnem współdziałaniu tamecz-nego ziemiaństwa polskiego — wyrzekającego się znacznej części dochodów, gdyż zamykało ono

swę gorzelnie i szynki — doszedł na tej drodze do znacznego umoralnienia ludu. Rząd od początku propagandy trzeźwości mocno się temu sprzeciwiał i ostatecznie w roku 1863 obalił trzeźwość, podobnie, jak obalał wszystko, co dążyło do umoralnienia i oświecenia ludu na ziemiach polskich.

Idea niepodległości Polski, w owej dobie, a ściślej określając, idea oderwania się od Moskwy, widocznie zbyt przenikała wyobraźnię pobożnego ludu żmudzkiego, iż skłonny stał się do „widzeń nieziemskich“, które mu wskazywały, że nie na próżno krew przelewa w twardej boju z Moskalami, nie na próżno idą z dymem jego wioski — jak Iłbany i inne — a liczne rzesze ludu poszły w jasyr sybirski... Bóg to wynagrodzi: „Polska a więc i Żmudź wolnemi będą od Moskala“.

Jedno z tych „widzeń“ miało miejsce w Rosieńskim, koło Szydłowa, gdzie jest cudowny obraz Bogarodzicy. Szydłów jest tem dla Żmudzi, czem Częstochowa dla Polski lub Ostra-Brama dla Litwy.

W chwili największego rozwoju powstania styczniowego na Żmudzi wieśniaczką ujrzała w polu „Najświętszą Panięnkę“ w tej postaci, jak ją widzą na obrazie w Szydłowie. Stała z rozpuszczonemi włosami, płacząc nad dolą wieśniaczą, i zapytana o przyszłość miała przepowiedzieć zmartwychwstanie Polski... Kobieta opowiedziała o swem widzeniu i wieść o niem oraz przepowiednia, rozbiegłszy się szeroko za Niewiażą, dotarła do władz i sądów

moskiewskich w Kownie... Sprowadzona do Kowna kobiecina i stawiona przed sądem, na zapytanie o czem mówiła z Matką Boską, odpowiedziała jednym wyrazem: „ne suprant“ (nie rozumiem). Wieśniaczka, jak przeważnie cały lud na Żmudzi, poza swą mową innej nie znała.

Sąd był nieco zakłopotany. Uradzono wezwać na tłumacza księdza Ferdynanda Stulgińskiego, trzymanego wówczas w więzieniu, i sądnego za rozszerzanie wstrzemięźliwości od alkoholu w swej parafji, w Oniksztach.

Ksiądz Stulgiński wobec sądu po żmudzku rozmówił się z kobietą i oświadczył, że Matka Boska dużo mówiła tej wieśniaczce rzeczy ważnych, co w przyszłości ziścić się mają, ale zarazem powiedziała, iż ci, co skłaniać ją chcą do wyjawienia szczegółów tej nieziemskiej rozmowy, będą mieli mowę odjętą... Sąd przerażony, by nie uleść zaniemieniu, kazał uwolnić kobietę, która nie omieszkała wszakże szerzyć w dalszym ciągu wieści o przyszłym zmartwychwstaniu Polski...

Opowiadania księdza Dylewicza odmykały mi nową kartę ze współczesnych dziejów ludu żmudzkiego, i jego głęboka wiara, iż się wszystko ziści, co owa płacząca Bogarodzica mówiła wieśniaczce, rozjaśniał horyzonty mej myśli...

Spokojni i ufni w lepsze jutro, acz z kraju dochodziły wciąż prawdziwie hjobowe wieści, wyszliśmy z owej szafy, wzmocnieni na duchu i radośnie powitaliśmy nasze legowiska w ziemiach

kach... A gdy po kilku tygodniach nadeszły dni Bożego Narodzenia i w koszarach katorgi xiądz Gergielewicz, po Mszy św., zaintonował starą naszą pieśń „Bóg się rodzi, moc truchleje“, nie przez jeden umysł zbolały przesunęła się myśl, iż ponad „moce“ ziemskie, bodaj największe, są inne siły, wobec których te „moce“, truchleć mogą i obecna niedola naszego narodu może mieć swój kres... Byli tam i tacy, w których sercach głęboko wyryte były słowa poety: „miejcie nadzieję, bo nadzieja przejdzie z was do przyszłych pokoleń i ożywi je... A to, o czem pomyślicie, wypełni się i wielka radość będzie na ziemi w on dzień zmartwychwstania... Lecz wy będziecie w grobach“...

Słowa wielkiego wieszczą narodu ziściły się. Nadeszła doba zmartwychwstania; lecz całe prawie to pokolenie styczniowego powstania, co do owej doby więcej niż przed pół wiekiem dążyło przez fale krwi i łez, — już jest w grobie.

Kraków, w styczniu 1920.

CHUTU-CHTU.

Wspomnienie z lat wygnania.

Do niedawna, do bardzo niedawna postać Chutu-chtu, jej znaczenie i sama nawet nazwa obcemi były u nas. Obcemi również, może jeszcze bardziej, na Zachodzie. Nie wiedziano, że to wciele-
lenie Buddy, że to bóstwo — przedmiot czci szczególnej lamistów... Mniemano, że nazwa ta oznacza władcę Mongolji. W ostatnich zaledwie latach, gdy dreszcz rewolucyjny wstrząsnął organizmem uśpio-
nym od wieków państwa chińskiego, gdy niektóre prowincje monarchji olbrzymiej Bogdychana, pobu-
dzane z zewnątrz, odpadać zaczęły — gdy sąsiad z północy sięgnął po Mongolję — postać ta staje się znaną, przynajmniej z nazwy. Dzienniki o niej piszą, wyraz Chutu-chtu spotyka się coraz częściej; prasa europejska zaczyna przypominać, co dotąd wiadomo o kulcie Buddy, co podróżnicy, docierający niegdyś w głąb Chin i do Tybetu, pisali o owem bóstwie, przebywającym wciąż w północnych okolicach państwa Bogdychana: wyraz Chutu-chtu w XX wieku spotyka się w ustach

wielu, przestaje być określeniem czegoś nieokreślonego.

Ale postać, prawie tajemnicza, postać dotąd legendarna, ukazuje się oczom naszym nie w świetle właściwem, staje ona teraz przed nami pod nazwą władcy świeckiego — niesłusznie mienia owego Chutu-chtu monarchą Mongolji... Takim nie był i nie jest w rzeczywistości...

Polityka wpływów obcych, wyraźniej mówiąc, polityka Rosji, tak go mieni, takim mieć go chce. Pożądaniem dla niej zawsze było posiadanie w Mongolji władcy, któryby był powolnem narzędziem w dłoni obcych, potężnych wpływów... Tego rodzaju metoda politycznych zabiegów nigdy nie zawodziła. Wypróbowano ją z dobrym skutkiem w Polsce. Dlaczegoż w Chinach miałyby zawieść. Nie zawodziło w Azji to, co w Europie korzyść przynosiło; w różnych wyprawach i na różnych terenach nieraz służy tenże sam oręż...

Od dziesiątków lat obce wpływy, sięgające od północnego sąsiada, pragnąc pochłonięcia całej Mongolji, czuwają nad tem, gdzie i jakie dziecko ma się ukazać jako uosobienie Buddy na ziemi, gdy dawny Chutu-chtu zniknie z widowni świata. Wedle nauki bowiem lamaizmu, duch Buddy przechodzi pospolicie do organizmu trzynastoletniego chłopca.

Może on się objawić również pod Urgą, w centrum Mongolji, gdyż Urga jest rezydencją każdego Chutu-chtu, jak również w Daurji.

Nerczyńskiej, w obrębie państwa rosyjskiego, duch bowiem nie zna granic państwowych. Ukazanie się żyjącego Buddy w granicach Rosji azjatyckiej mogłoby stać się szkodliwem dla tamecznego państwa... Chociaż więc duch nie zna granic państwowych, wszakże w granicach Daurji Nerczyńskiej on nigdy się nie pokazuje... Są na to władze, by nad tem czuwały. I czuwają pilnie — nigdy jeszcze duch Buddy nie wcielił się w żadne pacholę burjackie, acz tam kwitnie cześć Szagiamuniego...

Raz tylko, raz jeden, dreszcze obaw przebiegły umysły władz w Daurji Nerczyńskiej (w południowo-wschodnim kącie Syberji) — przed oczami wyobraźni stróżów porządku publicznego stanęła postać Buddy żyjąca i wpływ roztaczająca w dolinach dauryjskich.

Było to w czasach, gdy Katkow, profesor uniwersytetu i dziennikarz w Moskwie, nadający ton opinii publicznej w Rosji, wynalazł ową siłę niewidzialną, ale potężną, którą nazwał „intrygą polską“... uczył, zalecał, by się wystrzegać owej „intrygi“, śledzić ją, wyszukiwać, pokonywać; potężną jest bowiem; ukazuje się pod różnemi postaciami, wszędzie się wślizgnie, oko najbystrzejsze jej nie zdoła dojrzeć.. acz ona jest wciąż, niepodobna do ujęcia, jest zawsze groźna i nieustannie szkodzi państwu rosyjskiemu.

...Nauka tego mistrza nie poszła na marne... Tysiące czytały jego gazetę, tysiące umysłów niewykształconych, bezkrytycznych, kształciło się na

niej; jej nauki rozbiegały się po olbrzymich obszarach państwa nieustannie, lata całe, sącząc jad niewiści, ustalając wśród tłumów ciemnych mnóstwo bajek fantastycznych, a nadewszystko wiarę w ową wszechmocną „polską intrygę“...

Działo się to w epoce największego wpływu rzeczonoego publicysty i jego organu, około r. 1868; ściśle daty nie pamiętam... Pędziłem wówczas życie galernicze, byłem odcięty od świata, pozbawiony nawet echa wszelkich wieści z poza granic pustyni, która mnie otaczała. Że jednak każdy okres życia posiada warunki różnorodne, lepsze lub gorsze, bardziej bądź mniej ciemne; niekiedy doba nader ponura ma chwile jaśniejsze, przeto i moje życie galernicze niespodzianie posiadało wówczas chwile stosunkowo nieco pogodniejsze, gdy nas, garstkę galerników, wśród których i ja się znalazłem, rzucano z Daurji Nerczyńskiej, z warunków znacznie trudniejszych, nad brzegami Ingody, do doliny, o paręset kilometrów bardziej na wschód posuniętej, nazywającej się Darasuń...

Warunki w nowej siedzibie lżejszemi się okazały; zamiast ciasnej przestrzeni, na której tłoczyło się kilkuset skazańców, otoczonej drewnianym, wysokim parkanem, strzeżonym przez zbrojne straże — lasy i góry stały się ścianą więzienia naszego, mogliśmy pełną piersią napawać się powietrzem zdrowem pustyni, mogliśmy w chwilach ciężkich wpatrywać się w oblicze przyrody i wśród jej ciszy a zarazem jej życia, bijącego na każdym

roku silnem tętnem, szukać ukojenia... To bezpośrednie obcowanie z przyrodą niejednokrotnie ulgę przynosiło.

Nie zaniedbano i tam dać nam zajęcia; rzucono temat niełatwy do rozwiązania... Powiedziano, wskazując na górę, wówczas śniegiem okrytą: „zbudujcie miasto“... Słuchaliśmy słów tych ze zdumieniem...

Zadanie było nieco trudne do wykonania dla garstki czterdziestu czy też pięćdziesięciu kilku galeorników, zbiedzonych, o siłach fizycznych marnych, bez środków żadnych, bez umiejętności budowania, bez żadnej wprawy obchodzenia się z siekierą drwałą, bądź cieśli...

Dano nam wprowadzić do pomocy kilka par wołów rządowych, starych, zagłodzonych, znużonych pracą wieloletnią. Z ich pomocą mieliśmy zwozić z gór sąsiednich budulec sosnowy lub modrzewiowy, który mogliśmy wyrąbywać w miejscach dowolnych i w ilości dowolnej...

Warunki do rozwiązania zadania były niezwykle trudne — rozwiązywaliśmy je wszakże... Rozwiązywaliśmy trzy lata... Miasta poza sobą wprowadzić nie zostawiliśmy, ale wzniesiliśmy kilka domków i chat — niektóre wcale niewykończone — zostawiliśmy życzliwą pamięć wśród miejscowej ludności, wśród Burjatów, synów tej ziemi dalekiej, o surowym klimacie, o obliczu pierwotnem, jakby wczoraj wyszła z dłoni Stwórcy... Burjaci do nas garnęli się i my z nimi zawiązywaliśmy stosunki bliższe.

Kiedy stanęła chata, wzniesiona pracą dwóch mych towarzyszy i moją, a przy chacie na znacznej przestrzeni uprawiać zacząłem na nowinie kartofle, zdarzyło się, iż lama buddajski, wyższego stopnia w hierarchji lamajskiej, tak zwany szireti—odpowiadający stanowisku biskupa w hierarchji chrześcijańskiej—z kilku wielbłdami przykoczował na wzgórzu ościenne chacie naszej i rozbił parę swych namiotów przy naszym kartoflisku... Dostojnik świątyń buddajskich kilkakrotnie mnie nawiedzał i przez tłumaczy nieco dowiadywał się o ziemi naszej i jej losach.

Wszystko go zaciekawiało, a jego dwaj s z a b i, rodzaj aspirantów na lamów — niekiedy furazowali na naszych śmietniskach, ogryzając koście; lub wyrwali młode kartofle z naszego ogrodu i surowe, niby przysmak najlepszy, spożywali... Po trzech tygodniach pobytu w naszym sąsiedztwie, w pewien wczesny poranek, szireti kazał zwinąć namioty, naładował nimi wielbłądy i odjechał, podobno w głąb chińskiej Mongolji, odległej o sto kilometrów od siedziby naszej.

Nie przypuszczałem, by ten przelotny stosunek z dostojnikiem lamajskim wywołać mógł jakiś, bodaj chwilowy zatarg z władzą, która bardzo niewiele posiadała przedstawicieli w Darasuniu. Komendantem osady galerniczej był naczelnik okręgu Nerczyńskiego (sprawnik), rezydujący w swej powiatowej stolicy, zaglądający do nas zaledwie parę razy w ciągu roku; zastępował go w urzędzie jego

powinowaty, młody oficer, mający pod sobą załogę, z kilku zaledwie kozaków złożoną. Oczywiście, w sprawach ważniejszych oficer odwoływał się do komendanta w Nerczyńsku, ten zaś ze stolicy prowincji, z Czyty, otrzymywał rozkazy i instrukcje. Spraw jednak ważnych prawie nie było, stosunki tak się ułożyły, iż z władzą najbliższą nic nie mieliśmy do czynienia. Załoga z oficerem bawiła się polowaniem lub grą w karty... Innej obok siebie ani władzy, ani też straży nie mieliśmy.

Po chwilowej bytności dostojnika buddajskich świątyń w naszej siedzibie upłynęła jesień i zima, nadchodziła wiosna bardzo spóźniona, wiejąca śniegiem częstym, naprzemian z wiatrem gwałtownym. Dni były smutne, niewróżące bliskiej wiosny, a tu tymczasem zbliżały się nasze święta Zmartwychwstania, chwile obchodu tryumfu dobra nad złem, światła nad ciemnością...

Myśl nasza biegła ku Zachodowi, pod strzechy domów naszych; uczuciem, marzeniem jednoczyliśmy się z dalekimi przestrzeniami, z ziemią rodzinną, której oblicze przywalono głazem grobowym. Dni uroczystości wielkanocnych im bardziej się zbliżały, tem smutniejszymi były dusze nasze. Zresztą i przyroda nas otaczająca była osłonięta jeszcze przeważnie zimową szatą; wiosna bowiem w Daurji późno i nagle powstaje; przejście od zimy do lata gwałtowne, zaledwie dni parę trwające, więc i święta Zmartwychwstania nigdy tam nie przypominają

otrząśnięcia się ziemi z więzów zimy, tryumfu odrodzenia się świata. Śnieg wprawdzie znika, jednak szaro, ponuro, smutnie dokoła, i to wrażenie przynębiające, roztaczające się dokoła nas, wsiąkało w nasze dusze, napełniało nasze myśli smutkiem bezbrzeżnym.

Świątyni tam żadnej oczywiście nie posiadaliśmy — i wiara państwowa również jej blisko nie miała — najbliższą była jedynie buddajska lamaserja. Wśród izb jednak naszych chat, ukrywaliśmy w najgłębszej tajemnicy, wywiezione skrycie z kraju utensylja kościelne i mense; w szeregu zaś towarzyszy doli byli dwaj kapłani, którzy, przy drzwiach zamkniętych i pilnie strzeżonych od ciekawego oka, niekiedy Mszę św. odprawiali... Spodziewaliśmy się i w owym zbliżającym się dniu Wielkiejnocy ujrzeć odprawianą Mszę św... Przygotowania do niej już w tajemnicy poczyniono.

Wieczór, poprzedzający dzień Zmartwychwstania i noc rezurekcyjną pragnąłem przepędzić poza szczupłą izbą naszej chaty, pod osłoną mrocznego nieba. Zdała od ludzi, wśród ciszy okalających borów, myśl łacniej mogła się wznieść ku wyżynom, popłynąć ku ziemi ojczystej, zerwać bodaj na chwilę z rzeczywistością...

Zaledwie zrobiłem parę kroków poza chatą, jakieś cienie stanęły przedemną i głos stanowczy, w języku urzędowym, zabrzmiał mi nad uchem: „Stój, jesteś aresztowany“... Zdumienie mną ogarnęło; więzień oddawna, galernik, uwięziony ma być

ponownie, chociaż dotąd nie przestał być więźniem. Okrzyk powtórzono... Głos zdawał mi się znany.

Zdziwiony podniosłem głowę i nietyle wzrokiem, jak słuchem, poznałem wśród ciemności naszego oficera, zastępcę komendanta, który widocznie starał się nadać smemu młodocianemu głosowi brzmienie groźne.

— Dalej ani na krok, musimy przeprowadzić rewizję najściślejszą, rozlegał się głos surowy, ale nieco przyciszony.

.

W ciągu paru sekund zrobiłem przegląd mych grzechów, jakie mogłem popełnić wobec przepisów galerniczych; sumienie nic mi nie zarzucało, oprócz posiadania flaszki atramentu, kilku piór i kilku zrzyneków grubego papieru. Byłem pewny, że chodzi o ten nieszczęsny atrament, który, korzystając ze zręczności, sprowadziłem z miasta, z Czyty, odległej przeszło o dwieście kilometrów.

— Iwanie Alexandrowiczu — rzekłem pośpiesznie — mam atrament, zabierzcie go i nie róbcie zeń wielkiej historii...

Słowa moje pozostały bez odpowiedzi. Jakaś postać stanęła koło mnie, wstrzymując, abym ani na krok nie ruszył się. Oficerek zaś z resztą swej straży, nie wchodząc do chaty, spiesznie poszedł ku kartoflisku, około którego miałem kilka pni drzewa opałowego. Z pod płaszców żołnierzy ukazała się latarnia, oświecająca im drogę...

Na oczekiwaniu upłynęła dłuższa chwila. Nie mogłem zrozumieć, o co chodzi. Wtargnięcie późnym wieczorem na kartoflisko, przegląd z latarnią złomów drzewa, krzaków, suchych badyli, co pozostałość stanowiły po burzanach, krzewiących się bujnie w lecie, na skraiskach niwy zoranej pod kartofle, dziwiły mnie niezmiernie... Co to wszystko miało znaczyć, zapytywałem siebie i nie znajdowałem żadnej logicznej odpowiedzi.

Wreszcie oficerek wrócił i, głęboko odetchnąwszy, jakby po pracy uciążliwej, rzucił mi jeden wyraz: „Niema“.

— Czego niema? Kogo niema? — pytaniem odpowiedziałem.

— Ch u t u - c h t u ...

— Jak to, szukaliście Ch u t u - c h t u t u, na kartoflisku?...

Oficer kazał żołnierzom odejść, a zbliżywszy się do mnie, rozpoczął głosem już innym, łagodnym i cichym opowiadać o powodach tego najścia zbrojnego i dziwnych poszukiwaniach. W głosie odczuwało się pewne zakłopotanie...

Szliśmy jakiś czas razem, wśród pustkowia pod lasem, który do naszego obejścia docierał.

— Bo to widzicie — mówił oficer, coraz bardziej głos zniżając — otrzymałem przez umyślnego gońca z Czyty papier urzędowy, z surowym rozkazem zrobienia u was poszukiwań ścisłych, głównie wśród krzaków, obok kartofliska, gdzie podobno ukrywacie nowego Ch u t u - c h t u ...

Byłaby to zbrodnia wobec państwa, godna najwyższej kary... Wiecie zapewne, iż niedawno w Mongolji, w Urdze, umarł dotychczasowy Chutu-chtu. Zrobiło to wrażenie ogromne u Burjatów. Lamowie u nas zjeżdżali się, radzili, i świeccy Burjaci brali również udział w tych naradach. Widoczne było ogólne zaniepokojenie... We wszystkich lamaserjach — w Igyte-dassan, w Agi-dassan, nad Gęsiem jeziorem ciągle zjazdy i narady... Rząd nie mógł na to patrzeć obojętnie, zwłaszcza, iż rozeszła się pogłoska, iż duch Buddy wcielił się w jakiegoś chłopca burjackiego, tu, u nas... A więc miał tu powstać nowy Chutu-chtu!.. Na to władza stanowczo nie pozwala. W Mongolji to rzecz inna, ale u nas nigdy... Przytem ktoś zwrócił uwagę, iż szireti, który tu był latem miał z wami jakieś stosunki... Jego namioty, jego wielbłądy stały około tego ugoru, któryście zorali... Sądzone więc, że po tym szireti pozostał jakiś szalas, gdzie może ukrywacie nowego Chutu-chtu...

— Dużo mówią u nas w mieście, w Czycie — ciągnął dalej oficerek, głos coraz bardziej zniżając — mówią w mieście, gdzie gazety czytają, iż jest jakaś „polska intryga“ i ona wiele może. Tak pisze gazeta. Ja nie znam się na tem, nigdy w życiu gazety nie czytałem; lecz ci, co czytają widocznie w to wierzą, dlatego więc kazano u was szukać burjackiego chłopca, który ma być Buddą żyjącym... Czy tak, czy nie, czy „intryga“

wasza działa na zgubę naszą — nie wiem, ale spełniać rozkazy muszę...

Uśmiełem się szczerze z opowieści oficera, który wszakże snąc w głębi duszy wierzył, iż Chutu-chtu może być przez nas wytworzony i ukrywany, żegnając się bowiem ze mną, szepnął: „Bądźcie, panowie, ostrożni, bardzo ostrożni; ja was wszystkich lubię, lecz obowiązek przede-wszystkiem, obowiązek zawsze musiałbym spełnić“.

.

Nazajutrz, w dniu Zmartwychwstania Pańskiego, kolega galernik, xiądz Piwarski z Sulejowa, z nad Pilicy, odprawił Mszę św., po której zain-tonowaliśmy gromadnie „Wesoły nam dziś dzień nastał“...

W tej pieśni starej a radosnej, która w ciągu wieków płynęła z ust i z serc tylu pokoleń, w tym ogniu modlitwy garstki niewolników stopiły się wszystkie smutki i bóle nasze ówczesne, zsta-piły na nas spokój i moc wytrwania na lata przyszłych cierpień, aż do owego nieznanego dnia przyszłości, gdy kamień grobowy z oblicza Matki zostanie odwalony.

Kraków, w kwietniu 1916.



SPIS RZECZY:

| | |
|--|-----|
| * * * | 5 |
| Polska przed sześćdziesięciu laty | 9 |
| Kilka myśli o powstaniu styczniowym | 23 |
| Żołnierze powstania styczniowego | 33 |
| Xiądz Antoni Mackiewicz | 44 |
| Straceńcy | 64 |
| Powstańcy polscy na Bałtyku w r. 1863. | 82 |
| Związek polskiej floty w powstaniu styczniowym | 92 |
| Udział kobiet polskich w powstaniu styczniowym | 102 |
| Niezapomniane rocznice | 113 |
| Wigilja w domu niewoli | 132 |
| Wspomnienia z katorgi syberyjskiej | 139 |
| Chutu-chtu | 156 |

ERRATA¹⁾

| | | zamiast | winno być |
|---------|-----------|------------------------|------------------|
| Str. 13 | wiersz 12 | od góry — na Zaburzu | — na Zabużu |
| " 17 | " 2 | od dołu — wewnętrznym | — zewnętrznym |
| " 32 | " 12 | od góry — tajemniczemu | — tajemnemu |
| " 73 | " 6 | od dołu — półkownik | — syn półkownika |
| " 78 | " 3 | " " — umknął | — uniknął |
| " 82 | " 8 | " " — związków | — zawiązków |
| " 90 | " 15 | od góry — urzędników | — uczestników |
| " 114 | " 14 | od dołu — Żyliński | — Żuliński |
| " 135 | " 11 | od góry — nad duchem | — nad dachem |
| " 145 | " 13 | od dołu — na miejscu | — na mniejsze |
| " 159 | " 13 | " " — z Daurji | — w Daurji |

¹⁾ Z powodu trudności komunikacyjnych Autor nie mógł sam przeprowadzić korekty i dopiero po wydrukowaniu arkuszy zaznaczył ważniejsze zmyłki, które niniejszym prostujemy (przyp. wydawcy)

